Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 31 stycznia 1937 r.* Nr. 5

NIE WIŃ MNIE...



Nie wiń mię — tak trudno jest nieraz być...
człowiekiem
I myśleć wciąż tylko o życiu tym — codziennym.
Nie wiń mię — dusza czasem rwie się w kraj
daleki,
Kraj marzeń, blaskami lśniący, szczęściem pro
miennyy.

—o—

Są chwile — że nad przepaścią stoję w zachwycie
I inne — gdy wytrwale pnę się na szczyt ska-
listy...
Nie wiń mię... Ciągłem zmaganiem jest dla
mnie życie,
Z duszą swą — często boje wiodę płomieniste.

—o—

Nie wiń mię — ja mam duszę szaloną i młodą,
W której są i mroki i zarzewie płomieni —
Trudno o harmonijną uczuć, myśli zgodę...
— — — — — —
Pamiętaj: najłatwiej jest rzucić oskarżenie! —

Danuta Wyrybkowska.

—o—

WOJCIECH HOLM

17)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Więc to nie będzie nic złego, że pójdę z panem i Leon nie będzie się za to na mnie gniewał? — spytała z trwogą.

— Musiałby być tyranem — zapewniał Feldern — gdyby się chciał za to gniewać! Proszę się prędko zebrać, a ja tymczasem pójdę do gospodyni, poprosić ją, aby z nami poszła!

To rzekłszy, wyszedł spiesznie, a Hortensja stała przez chwilę niezdecydowana, potem mruknęła:

— To przecież nie może być nic złego, inaczej by mnie Feldern do tego nie namawiał, a co do Leona, ten się pewno będzie cieszył, że spędziłam również przyjemnie wieczór.

Tak rozproszywszy wątpliwości sumienia, weszła, śpiewając wesoło, do sypialni, aby się przebrać.

Nie zapomniała wprawdzie zupełnie swego bólu; złagodniał on jednak znacznie.

Próbowała już nawet usprawiedliwić i upiększyć postępowanie Leona.

Była jeszcze półdzieckiem, a uczucia jej i nastroje zależne były od chwilowego kaprysu.

W chwili obecnej oddawała się niepodzielnie radości z powodu muzykalnej uczty, która już czekała i nic już nie zaćmiewało tej dziecinnej przyjemności.

W drodze do pani Neumeister stanął asesor nagle na schodach i zamyślił się głęboko.

— Ha — mruknął — postępuję zupełnie honorowo. Chodzi mi przecież tylko o to, aby biednemu dziecku sprawić przyjemność, a czynię to w sposób zupełnie naturalny. Biorę ze sobą starą, nudną kobietę, aby tylko dobre imię Hortensji nie naraziła na szwank, a sam usiądę w loży tak, aby mnie nie bardzo widziano.

Po tej refleksji, poszedł do gospodyni, starej i dobrej kobieciny, która ucieszyła się bardzo tą propozycją i włożyła najpiękniejszą swoją suknię, aby zastosować się do towarzystwa, z którem się miała w teatrze pokazać.

Wracając do mieszkania Waldaua, asesor bardzo był zamyślony.

Czy myślał może nad tem, że motywem jego usiłowań nie była tyle chęć sprawienia Hortensji przyjemności, ile chęć przebywania w jej towarzystwie.

Czy przyznawał się może w duchu do tego, że było to niegodziwością z jego strony powiększać w ten sposób niezgodę między małżonkami.

Ale wszystkie jego wątpliwości, rozproszyły się w jednej chwili i okrzyk podziwu wyrwał się z ust jego, gdy Hortensja stanęła przed nim w eleganckiej toalecie.

Kremowa kazmirowa suknia uwydatniała smukłą jej postać.

Kilka jasno - niebieskich kokardek w jasnych włosach i na szyi, podnosiły jeszcze więcej jej piękność!



Nowa fala porywań dzieci, jaką zanotowano w Stanach Zjednoczonych, gdzie porwanie dziecka kończyło się śmiercią, mimo złożonego okupu, zaniepokoiła wszystkich rodziców. Na zdjęciu widzimy młodziutką artystkę filmową Janę Withers, w towarzystwie urzędnika policji, która została porwana, lecz po złożeniu okupu w wysokości 50 tysięcy dolarów, wypuszczona na wolność.

Z dziecinnym zapałem zapinała długie, białe rękawiczki i wkładała branzolety, dar Leona z pierwszych czasów ich pożycia!

Wtem zjawiła się pani Neumeister, dygając i prosząc o przebaczenie, że kazała tak długo na siebie czekać.

W świątecznej, czarno-jedwabnej sukni i staromodnych biżuteriach, była ona, zdaniem asesora, wzorem powagi i nadawała się wybornie do roli towarzyszki.

Zadowolony i uspokojony zarzucił on na Hortensję, lekkie odkrycie, włożył kapuzę na jasną jej główkę i podał jej zwinnie ramię, zostawiwszy pani Neumeister, aby drzwi mieszkania zamknęła.

— — — — — — —
— — — — — — —

Zawoławszy na dorożkę, pomógł damom przy wsiadaniu, następnie usiadł naprzeciw i tak pojechali we troje do opery.

Asesor zapomniał o całym świecie, tak się ucieszył, że jest w towarzystwie Hortensji.

Ona zaś uradowaną była niewymowną nadzieją usłyszenia tak pięknej opery.

ROZDZIAŁ LVIII

Szron nocy wiosennej

Stróż nocny wydzwaniał właśnie 11-tą godzinę, gdy Leon wracał do domu.

Towarzysze jego zostali jeszcze, pijąc, śpiewając, śmiejąc i żartując; on jednak wymknął im się niepostrzeżenie.

Nie rozweselił się w kole wesołych swych kolegów, bo błagający wzrok Hortensji i zasmucona twarz jej przy pożegnaniu nie schodziły mu z oczu.

Myślał ciągle o tem, co ona przez cały wieczór robiła:

Śmiała, grała, a potem pewno zasnęła, płacząc jak rozdrażnione dziecko!

Widział ją stale przed sobą zapłakaną, a zarazem uśmiechniętą we śnie!

Zrobiło mu się jakoś tak ciepło przy tej myśli; wina jego wobec niej, tak mu się wydawała wielką, że nie mógł dłużej wysiedzieć.

To też wymknął się zgrabnie i biegnąc do domu wyobrażał sobie, jak Hortensję pięknie przeprosi i tę bezwzględność ze zdwojoną miłością jej wynagrodzi.

Przed domem stanął na chwilę i wpatrzył się w okno.

Wszędzie było ciemno.

— Widocznie Hortensja już śpi — pomyślał — zbudzi się jednak pewnie, gdy wejdę i rozpromieni twarzyczkę, gdy mnie u stóp swych, jako skruszonego winowajcę zobaczy.

Szedł cicho po schodach, jak gdyby nie chciał przedwcześnie ją zbudzić, otworzył ostrożnie drzwi, wszedł na palcach i zaświecił lampę.

Zdjąwszy pospiesznie czapkę i płaszcz, wszedł do sypialni.

Nie zastał jednak Hortensji. Łóżko jej było próżne a cały pokój znajdował się w jakimś dziwnym nieporządku.

Przyszła mu straszna myśl, pod której wrażeniem, z jękiem upadł na krzesło.

Czy to było możliwe, aby go dla tak błahego powodu opuściła, albo coś gorszego popełniła.

Upłynęło kilka minut strasznej dla Leona męczarni.

Niezdolny pomyśleć o tym, co począć i gdzie ją szukać, załamał tylko rozpaczliwie ręce i jęknął strasznie.

Nie słyszał nawet, że ktoś otwierał i zamykał bramę i lekko po schodach wchodził na górę.

Zbudziło go dopiero z zadumy otwieranie drzwi mieszkalnych. Podskoczył jak zelektryzowany, gdy się drzwi otworzyły a przez nie weszła Hortensja rozpromieniona i bajecznie piękna.

Kapuza spadała ze złotych jej włosów, a z pod lekko przywieszonego płaszcza, wyglądała wspaniała jej toaleta.

Patrzył na nią jak na zjawisko.

Ona nie spostrzegłszy tego, rzuciła mu się na szyję z okrzykiem.

— O, jakże się cieszę, że już jesteś, mój skarbie! Tak za tobą tęskniłam. Spędziłam cudny wieczór, ale z tobą byłby on jeszcze piękniejszy.

Leon wywinął się z jej objęć. Zdawało mu się, że to krzywda dla niego z jej strony, że przyszła taka wesoła, podczas gdy on z obawy o nią tyle wycierpiał.

Spytał więc zimno:

— A gdzieżeś była, jeśli wolno spytać?

— Byłam w operze z panem von Feldern — odpowiedziała z prostotą, dziwiąc się dziwnymu tonowi jego mowy — grano „Trubadura" i było cudownie. Najlepsze siły grały — i...

— A to mi się podoba — przerwał Leon ostro swobodną paplaninę swej żony. — Byłaś może jeszcze później

z Feldernem w restauracji i jedliście kolację? — spytał szyderczo.

— Nie — odpowiedziała nie zrozumiawszy zupełnie obrazy zawartej w jego słowach — z opery wróciliśmy wprost do domu.

— Dobrze i to — drwił Leon rozwścieklony — pięknie, żeś wogóle do domu powróciła. Feldern jest szubrawcem, że tak w nieobecności mojej skorzystał. Jutro zaraz raniutko pójdę do niego i powiem mu moje zdanie.

Wyglądał przy tym tak strasznie i tak się odgrażał, że Hortensja wybuchła głośnym płaczem.

— Drogi Leonie — szlochała — czuję się nieszczęśliwą, że ty się na mnie gniewasz. Za nic w świecie nie chciałam cię martwić. Feldern zapewniał mnie, że nie ma w tem nic złego, jeśli pójdę z nim do opery, pod opieką pani Neumeister, a teraz zdaje mi się, że...

— To i pani Neumeister była z wami? — przerwał Leon zmitygowany.

— Naturalnie — odparła Hortensja — Feldern przyniósł trzy bilety, a że ciebie nie było, dał gospodyni naszej twój bilet, abym miała opiekę.

— Czemuś mi tego prędzej nie powiedziała? — ofuknął ją Waldau.

— Nie wiedziałam, że cię to interesować będzie — broniła się Hortensja nieśmiało. — Pani Neumeister nie bawiła się wcale w operze.

— Ona jest gęsią — mruknął Leon — a ty jesteś nierozsądnym dzieckiem, żeś mi zaraz nie powiedziała, że ona była z wami. Myślałem dotychczas, żeś była sama z Feldernem, co obrażało mój honor. Gdybym był o tym wiedział, nie byłbym się tak irytował.

Hortensja nie zrozumiała tego, prosiła go jednak ze łzami w oczach, aby się nie gniewał.

Ale Waldau był rozdrażniony i zdenerwowany.

Bo zamiast objąć żonę, odezwał się do niej w pół surowym, pół pouczającym tonie:

— Jeśli pozornie nawet nie zgrzeszyła przeciwko regułom przyzwoitości, to przecież musisz sobie powiedzieć, że nie postąpiłaś tak, jak byłaś powinna. Jeżeli ja spędziłem jakiś wieczór po za domem, to uczyniłem to dla tego, że muszę mieć trochę podniety. Potrzebna mi jest wymiana myśli z moimi kolegami i nie mogę wiecznie wisieć przy fartuszku żony. Ty jednak mogłaś zostać sama w domu przez ten jeden wieczór. Muzyka i książki mogły ci na tych kilka godzin wystarczyć. Ale zamiast zachować się spokojnie i rozsądnie, ty wolałaś powierzyć się Feldernowi, skarżyć się na mnie przed nim, a on pewno skorzystał ze sposobności, aby się okazać rycerskim, eleganckim i uprzejmym w przeciwieństwie do męża tyrana.

Niesprawiedliwe podejrzenie wywołało łzy w oczach Hortensji.

Nie oskarżyłam ciebie u pana Feldema — rzekła łagodnie, ale stanowczo.

Powoli cofnęła się do sypialni. Była bardzo poważnie dotknięta i obrażona. Po raz pierwszy zjawiło się wśród młodego małżonka takie niesprawiedliwe i ostre postępowanie jego względem niej.

Dotychczas zawsze przyznawała się ona pokornie do wszelkiej winy, ale dziś duma jakaś wzbudziła się w niej.

Leon obraził ją; był dla niej nieuprzejmy i bezwzględny i przez to sprawił jej kilka cierpkich godzin, a gdy zbliżyła się do niego chcąc mu przebaczyć, ofuknął ją i obwinił o coś, do czego się wcale nie poczuwała.

Leon także ponury i zły siedział w swoim pokoju. Wiedział o tem, że był dla niej niesprawiedliwym, nie mógł się jednak na tyle przezwyciężyć, aby sobie przypisać winę.

Całą winę zwalał na Hortensję i Felderna, ale Feldern był mu zupełnie obojętny i nie mógł mu zrobić żadnego zarzutu, gdyż po namyśle uznał, że on nic złego nie zrobił. Całą złość przeto zwrócił przeciwko swej żonie.

Gdy wreszcie poszedł do sypialni, spojrzał ukradkiem na żonę.

Ona spała, ale oddech miała nieregularny i niespokojny, a na jej dziecinnej twarzy widać było wyraz goryczy, którego dotychczas nigdy u niej nie zauważył. Odwrócił się z niechęcią.

Gdyby był zauważył u niej wyraz skruchy i żalu lub smutku, byłoby to usposobiło go łagodnie.

Ale ten wyraz obrażonej godności ludzkiej, który widział teraz na jej twarzy, rozgniewał go jeszcze bardziej.

Rozdrażniony, zły i zdenerwowany, rzucił się na łóżko.

Dopiero po raz pierwszy uczuł się bardzo dalekim swojej własnej żony.

ROZDZIAŁ LIX.

Syrena wabi

Po tej pierwszej sprzeczce młodej pary nastąpiły dnie ponure, bez słońca i pogody.

Leon milczał obrażony i oczekiwał od żony pierwszego kroku do pogodzenia się.



W święto Trzech Króli obchodzi się corocznie w Rumunii uroczystość święcenia wody. W roku bieżącym król Karol (widzimy go na zdjęciu w głębi, w towarzystwie prezydenta ministrów Tatarescu) rzucił w dzień tej uroczystości w fale Dambowicy krzyż, który czterej rumuńscy weśniacy wyłowili, by spowrotem wręczyć królowi.

Ale Hortensja zwykle taka pokorna i skora do skruchy, okazywała teraz jakąś nadzwyczajną siłę, która go doprowadzała do wściekłości.

Nie gniewała się z nim, nie udawała obrażonej, była dla niego jak zawsze bardzo uważającą i grzeczną. Troskliwie wypełniała wszystkie jego nawet niewypowiedziane życzenia.

Ale mimo to zaszła w niej jakaś ogromna zmiana. Co jej Leon poczytywał za największą winę, było to, że go nie prosiła drugi raz o przebaczenie.

Zazwyczaj wśród łez, próśb i pieszczot błagała go o przebaczenie, prosiła, aby ją kochał nadal i przyrzekała, że się poprawi.

Teraz jednak kiedy pierwsze jej przeprosiny odrzucił tak brutalnie, nie poczuwała się do żadnej winy, a budzący się w niej rozsądek, mówił jej, że to Leon zawinił, a nie ona, i poczucie sprawiedliwości jej wzdragało się przeciwko temu, aby ona miała się upokarzać za jego winę.

Tak tedy siedział Leon przez większą część dnia nad swoimi księgami, z których treścią żył na stopie wojennej.

Przyzwyczajony do długoletniego próżniactwa, z trudnością tylko naginał się na nowo do studiów.

Hortensja przez cały dzień musiała cicho siedzieć.

Nie wolno jej było grać, ani śpiewać, żeby mu nie przeszkadzać.

Siedziała więc przy oknie z książką i albo czytała albo patrzyła co się dzieje na ulicy.

Na domiar złego Hortensja zaziębiła się i nie wolno jej było wychodzić na ulicę.

Ustały więc wspólne obiady w restauracji, do której Leon musiał teraz chodzić sam.

Ustały wspólne spacery do Prateru. Hortensji przynosiła gospodyni strawę do domu, a i wieczorem włóczył się Leon sam po Praterze.

Wtedy to podczas nieobecności jego, ona w muzyce znajdowała ukojenie swego bólu.



W Moguncji istnieje zabawny zwyczaj nakładania mężczyznom czepków, w okresie tygodni karnawałowych.

Wprawdzie rzucała niejedną niemą prośbę w spojrzeniu na męża, niejedno nieme pytanie, ale on tego wszystkiego nie chciał widzieć.

Tęsknota pożerała ją i trawiła, ale słowo wyzwolenia nie chciało się przecisnąć przez usta.

Leon coraz bardziej był zatwardziały w swym gniewie, niechęć jego wzrastała codzień i zamiast dotychczasowych pieszczot, miał dla żony tylko zimne spojrzenie i mało uprzejme słowa.

Na wiosnę ich miłości padł szron i zwarzył piękne kwiaty uczuć.

Pewnego popołudnia, gdy Leonowi jakoś mniej niż zwykle nauka szła do głowy, zamknął książkę wcześniej niż zwykle i rzuciwszy żonie obojętnie „adieu", na które ona odpowiedziała cicho i smutnie, wyszedł z pokoju i włóczył się bezcelowo po ulicach.

Już prawie gotów był robić sobie wyrzuty, że się tak wcześnie i nieopatrznie ożenił.

Po pierwszych kilku miodowych miesiącach, teraz nastąpiła u niego reakcja.

Piękna jego młoda żona była już teraz tylko ciężarem i kulą u nogi.

Zdawało mu się, że gdyby nie ta troska o przyszłość wspólną, byłby się o wiele prędzej uczył i teraz może byłby już na stanowisku.

Im bardziej wgłębiał się w te myśli, tem bardziej wydawały mu się one słuszne i prawdziwe, aż nareszcie sam w nie uwierzył.

W ten sposób gniew niesłuszny i niesprawiedliwy zwrócony przeciwko Hortensji, wzmagał się w nim jeszcze i rósł zupełnie bezpodstawnie.

Tak myśląc chodził po ulicach, aż zatrzymało go jakieś zbiegowisko, i myśli jego zwróciły się ku rzeczywistości.

Zobaczył elegancki powóz, który z błyskawiczną szybkością ciągnęły dwa spłoszone konie.

Stangret w przepysznej liberii nie mógł zdaje się utrzymać dłużej rumaków, a w powozie leżała omdlała piękna kobieta.

Na trotuarze przechodnie łamali ręce i wydawali okrzyki zgrozy.

Tymczasem krzyki te i wrzaski niepokoiły rozbrykane konie jeszcze bardziej, a nikt nie myślał o prawdziwym, czynnym ratunku.

Teraz konie skręciły na rogu ulicy tak szybko, że powóz byłby się rozbił o mur.

Jeszcze jeden taki skręt, a właścicielka zginie niechybnie.

Leon bez namysłu skoczył z chodnika na drogę, chwycił silnie za cugle i konie spienione stanęły, patrząc dziko na swego pogromcę.

Woźnica odzyskawszy tymczasem przytomność wziął od Leona cugle, które mu przedtem z rąk wypadły.

Lokaj w bogatej liberii przecisnął się przez tłum i zaczął się zwijać około damy w powozie.

Leon chciał się właśnie oddalić, gdy usłyszał za sobą uprzejmy głos uratowanej:

— O, mój panie, czy chcesz mnie pozbawić tej przyjemności, abym ci mogła sama podziękować, za oddaną mi usługę?

Zmieszany Leon zbliżył się do powozu.

Elegancko ubrana dama wyciągnęła do niego obie pięknie urękawicznione ręce i rzekła:

— Zawdzięczam panu swoje życie, ale nie tu miejsce na wypowiedzenie panu tego, co czuję. Bez bohaterskiej odwagi pana byłabym pewnie już niefremną masą, rozduszoną przy jakiejś ścianie. Wysłałam służącego swego do sklepu, a sama zostałam w powozie i z tej to dobrej sposobności skorzystał mój woźnica, aby koniom dać się rozbrykać.

— Pani baronowo — bronił się woźnica pokornie — konie spłoszyły się przez jakiegoś człowieka, który transportował maszynę.

— Milcz! — ofuknęła go baronowa — wydalam cię natychmiast ze służby. Masz mnie tylko do domu zawieźć i jesteś wolny.

Woźnica mruknął coś pod nosem, ale nie odważył się na głośny protest.

— O, mój panie — zwróciła się baronowa do Leona z porywającą słodyczą — czy nie chciałbyś pan dopełnić miarkę swej dobroci i odprowadzić mię do domu? Oddaję się pod rycerską opiekę pana, bo ten idiota (to rzekłszy, wskazała na woźnicę) byłby w stanie zabić mnie naprawdę.

Ciemne jej błyszczące oczy, spoczęły z taką prośbą na Leonie, że nie mógł jej prośbie odmówić.

Służący otworzył drzwiczki powozu i nim się Leon spostrzegł, siedział już na niebieskich jedwabnych poduszkach obok młodej damy, która pięknością swą o szał mogła przyprowadzić, a powóz pędził co koń wyskoczy przez ulice Wiednia, przez które niedawno przechodził pieszo.

Silny, przyjemny zapach, który ją przepajał, oszałamiał go; spoglądał na nią z pod oka i zachwycał się jej pikantną południową pięknością, którą podnosiła jeszcze wyrafinowanie elegancka toaleta.

Baronowa zdawała się nie spostrzegać zmięszania swego towarzysza.

Gawędziła wesoło i dowcipnie w sposób, który zdradzał damę światową i pełną sprytu.

Gdy powóz skręcał na rogu ulicy, chwyciła baronowa w przestrachu rękę Leona i trzymała się go przez chwilę, poczem puściła go ze śmieszną uwagą własnej tchórzliwości.

Podczas mimowolnego poruszenia tego, czuł Leon jakby prąd elektryczny przechodzący przez jego żyły, a później zdawało mu się, że miał piękny sen, z którego zbudzono go prędko.

Wreszcie powóz zatrzymał się przed wspaniałym budynkiem.

Leon odgadnął, że są już u celu i nim lokaj zeskoczył z kozła, wysiadł z powozu i podał baronowej rękę przy wysiadaniu.

— Spełniłem rozkaz pani — zwrócił się niezgrabnie do pięknej kobiety — — pani baronowa pozwoli, że ją pożegnam.

— A toby było pięknie! — krzyknęła baronowa z dąsem, z którym jej było bardzo do twarzy. — Nie miałam jeszcze nawet czasu, aby panu podziękować! Musi pan ze mną pójść na górę, czy pan chce, czy nie chce! Jestem tyranką i nie znoszę żadnego sprzeciwiania mi się.

Oparta o jego ramię weszła po kilku szerokich stopniach prowadzących do bramy, która otworzyła się cicho z zewnątrz.

Stojący u bramy lokaj powitał wracającą panią głębokim ukłonem, a garderobiana wybiegła naprzeciw niej, aby jej zdjąć kapelusz i zarzutkę; nawet mały, biały piesek wybiegł ze swego ukrycia skomląc i wywijając ogonkiem. — Powrót pani domu spowodował ogólną irytację.

Służący otworzył boczne drzwi, przez które weszła baronowa, a za nią na pół we śnie Leon.

Przeszli cały szereg modnie i wykwintnie urządzonych pokoi, aż doszli do jednego o tak ekscentrycznym guście, że nawet Leon, mimo swego zmieszania, spostrzec to musiał.

Był to czworokątny salon, o oknach kolorowo malowanych, które tylko przez matowe szkło światło dzienne przepuszczały. Ściany obite były drogą, brokatową materią, a na podłodze leżał ogromny, perski dywan.

W pokoju tym nie było ani jednego ociężałego sprzętu europejskiego.. — Szerokie a niskie otomany przeciągnięte złotołkaną materią, stały wzdłuż ścian, na których pozornie od niechcenia, ale nadzwyczaj gustownie ułożone były oryginalnie haftowane poduszki.

Fotele bujające stały wokoło, a nad nimi wisiały indyjskie wachlarze.

Tu i owdzie, mały jak zabawka, stoliczek z palisandrowego albo hebanowego drzewa wysadzany perłową masą, kością słoniową albo srebrem.

Wszystko to przesiąknięte było dziwną wonią i wyglądało jak z bajki tysiąca i jednej nocy.

Baronowa spostrzegła pytający wzrok Leona, więc poinformowała go:

— To jest mój indyjski salon, czy podoba się panu? A zaraz potem, nim Leon mógł się zdobyć na słowo podziwu, dodała:

— Proszę usiąść!

Rzuciła się na fotel bujający, w którym się z wdziękiem kołysała i wprawiła w ruch jeden z mechanicznych wachlarzy.

W nadzwyczaj modnej swej toalecie wyglądała podwójnie pięknie w tem egzotycznem otoczeniu.

On zaś siedział, przypatrując jej się z zachwytem i naprzód już się cieszył z przebiegu zabawy.

— Wygląda pan taki zamyślony — zaczęła baronowa z lekką kokieterją — żałuje pan już pewno, że mnie uratował, ale co do mnie, ja wcale nie żałuję bohaterskiego czynu pana.

Przeciwnie, z serca panu za to wdzięczną jestem, bo ja żyję bardzo chętnie, a śmierci wcale nie pragnę!

— Nic dziwnego! — odparł Leon — kto ma świat u stóp swych, ten musi życie kochać. Ale jakże pani baronowa może myśleć, że ja żałuję swego czynu?

Czuję się dumny, że mi się to udało, jest to najwspanialszy, najszczęśliwszy dzień mego życia!

— To jest śmiałe twierdzenie — rzekła baronowa, uśmiechnąwszy się. — Nie wie pan przecież jeszcze, do jak wielkich czynów Bóg pana powołał.

Mimo, że pana dopiero od pół godziny znam, i że się pan nie zdradza ze swoim nazwiskiem, mam to wrażenie, że pan nie jesteś przeciętnym, tuzinkowym człowiekiem.

Leon podskoczył zmieszany i błagającym tonem prosił, aby mu baronowa przebaczyła to ciężkie wykroczenie przeciw etykiecie.

— Nazwisko moje jest: Leon Waldau, słuchacz praw — dodał.

— A ja, nazywam się Lola Wimpfen — uśmiechnęła się baronowa, w której czytelnicy poznali już pewno swoją dobrą znajomą.

Tak więc znamy się już wzajemnie — dodała — mimo, iż byłoby to bardzo pięknie, gdybyśmy się nawzajem jeszcze trochę byli intrygowali!



W Londynie, jak wiadomo panuje grypa. W celu zapobieżenia dalszego rozwoju tej choroby władze zdrowia zarządziły płókanie ust. Na zdjęciu dzieci w sierocińcu przy tej czynności.

Służący wszedł i stanął milcząc przy drzwiach.

— Czy już wszystko przyrządzone? — spytała baronowa Lola — jeszcze jedno nakrycie, bo ten pan je dziś ze mną.

— Ależ pani baronowo! — jąkał się Leon zaambarasowany — nie mogę doprawdy korzystać z łaskawego zaproszenia, bo... bo...

— Żadnych wymówek! — przerwała mu baronowa wesoło. — Proszę mi podać ramię i poprowadzić mnie do stołu.

— Pominąwszy już wymówki — bronił się Leon — to jeszcze nie mogę siadać do stołu w tego rodzaju ubraniu, jakie w tej chwili na sobie posiadam!

Przytem przeklinał w duchu zamiedbanie, do którego się w ostatnim czasie przyzwyczaił. Porównywał w myśli swój kraciasty, ciemny surdut, nieświeżą już koszulę, wychodzone buciki ze wspaniałą toaletą baronowej, złoszcząc się sam na siebie, za swoją niedbałość.

— Jest pan w kostiumie spacerowym — rzekła baronowa obrzucając go przelotnem spojrzeniem — to przecież nic a nic nie szkodzi.

— Niech pan na mnie popatrzy! Jestem też w ciemnej, niewydekoltowanej sukni. Jesteśmy zresztą całkiem swobodni, bo towarzyszki swej nie biorę w rachubę.

Oszołomiony, pozbawiony własnej woli, odłożył Leon kapelusz, który dotychczas trzymał w ręku, na kanapę, i podał baronowej ramię.

Gdy przechodzili obok dużego lustra, przekonał się Leon przelotnem spojrzeniem, że okazała jego postać w tym nieco zaniedbanym ubraniu, prezentowała się wcale pokaźnie, a przeświadczenie to dawało mu trochę utraconej pewności siebie.

Gdy wstąpili do średnio - wielkiej i gustownie urządzonej jadalni, oblało ich morze świateł, przy którym blasku kosztowne srebrne i kryształowe serwisy stołowe mieniły się w bajecznych kolorach.

Podstarzała, bardzo już przekwitła panna stała w oczekującej pozie.

Ani jedną miną nie zdradzała zdziwienia na widok niespodziewanego gościa, Anastasja wiedziała już dokładnie od lokaja o całej awanturze, nie dziwiła się więc wcale, że wybawcę zobaczyła.

— Kochana Anastazjo — rzekła baronowa — pan Waldau.

Leon skłonił się uprzejmie, nie spojrzawszy nawet na towarzyszkę.

Nie spostrzegł więc przeszywającego wyrazu szaro - zielonych oczu Anastazji, których blask badawczo na nim spoczął.

Baronowa usiadła na pierwszem miejscu, a obok niej z jednej strony Leon, z drugiej strony zaś Anastazja.

Służący podawał zupę.

Leon składając rękawiczki zręcznym ruchem, zdjął też niespostrzeżenie obrączkę ślubną z palca i schował ją do kieszeni.

Biedna Hortensja!

Zaledwie kilka tygodni po ślubie, a czuły małżonek nie wzdrygnął się już schować ukradkiem symbol ich uświęconego związku, na to, aby wydawać się bardziej zajmującym w oczach jakiejś tam obcej kobiety. Będąc zupełnie pod jej urokiem, nie myślał nawet o prawowitej swej małżonce, która właśnie w tej chwili samotna i opuszczona, tęskniła za swym ideałem.

Baronowa gawędziła bezustannie w właściwy sobie zabawny i kokieteryjny sposób, a Leon tak olśniony był błogim jej urokiem, że nie tknął prawie nic z podanych potraw.

Pożerał oczyma wspaniałą jej postać, chwytał chciwie uchem każde jej słowo; nie widział i nie słyszał nic prócz niej.

Anastazja patrzyła ze zdziwieniem na niecną grę baronowej, bo nie mogła pojąć, w jakim celu ona zadaje sobie



W sali koncertowej w Wiedniu obchodzono uroczystość ku czci znanego kompozytora profesora Wilhelma Kienzla, który w tych dniach święci 80-letnią rocznicę swych urodzin. W dniu tym przemawiał minister oświecenia publicznego dr. Horster. Udział brali liczni goście honorowi. Od lewej: szef rządu dr. Schuschnigg. Obok niego żona prezydenta Austrii pani Miklas i dalej jubilat profesor Wilhelm Kienzl.

tyle trudu, aby zawrócić głowę temu młodemu człowiekowi, nazywającemu się po prostu „Waldau“ bez szlachectwa i tytułu.

— Jest on przystojny — myślała — ale nie ma szyku; jest mieszczuchem, zwykłym studentem, a przy tem jest młodszym od baronowej.

Prócz tego bystremu wzrokowi jej nie uszło, że baronowa od niejakiegoś czasu utrzymuje stosunek z księciem Iffalwi.

— Cóżby dumny książę powiedział na takiego rywala? — myślała.

— A może to był zręczny podstęp, aby wzbudzić zazdrość u księcia — kombinowała Anastazja. Było jej to niejasnem i postanowiła zbadać dobrze tę sprawę.

— Czy pani baronowa wie o tem — spytała pokornie — że książę Iffalwi złożył swoje uszanowanie w nieobecności jaśnie pani?

— Tak? — spytała baronowa obojętnie.

— Książę tak niezmiernie żałował, że jaśnie panią baronową nie zastał w domu — zawołała znowu Anastazja.

— Ale ja wcale nie żałuję — rzekła baronowa nielaskawie.

— Książę przyniósł wspaniały bukiet — opowiadała towarzyszka — postawiłam go w buduarze jaśnie pani.

— Mogłaś go sobie zabrać — krzyknęła baronowa nieuprzejmie — jak chcę mieć kwiaty w swoim buduarze, to nie potrzebuję dopiero na nie czekać od księcia.

Bukiet od niego, to wreszcie wątpliwy zaszczyt, który się dzieli z każdą nie bardzo brzydką baletnicą.

Mimo, że ją baronowa ciągle z tropu zbijała, miała Anastazja bardzo zadowoloną minę, bo wiedziała teraz jak rzeczy stoją.

— A więc książę Iffalwi już się znudził — kombinowała Anastazja — niestała wietrznica zapałała miłość w tym młodzieniaszku, z którym znajomość na ulicy zrobiła.

Leon słuchał z bijącym sercem rozmowy baronowej z Anastazją, a wyniosłe odpowiedzi Loli napawały go rozkoszą.

— Tak więc małą wartość w jej oczach ma człowiek tego znaczenia i stanowiska, co książę Bella Iffalwi — myślał Waldau — i tak pogardliwie odrzuca ona jego hołdy.

Było to dla niego kojącym balsamem i słodka nadzieja wstępowała mu w duszę.

— Czy pani baronowa nie lubi kwiatów? — spytał nieśmiało.

— I owszem — odparła Lola uprzejmie — zależy tylko od tego, kto mi je daje.

To mówiąc, obrzuciła go gorącym, pełnem znaczenia spojrzeniem ciemnych swoich oczu, które Leon przyjął z zachwytem i zrozumieniem!

Zrozumiał, że gdyby się odważył złożyć jej hołd swój w postaci kwiatów, to dar jego byłby chętniej widziany od bukietu księcia.

Nie przypuszczał on nawet, że piękna postać baronowej, na którą on spoglądał z taką czcią, leżała już nieraz pełna oddania się w ramionach księcia, że małe jej rączki, które on z taką pokorą byłby ucałował, obejmowały nieraz szyję Belli Iffalwi. Nie byłby uwierzył, że usta jej z taką pogardą mówiące o nieobecnym, szeptały nieraz gorące słowa miłości w książęce ucho.

Nie mając pojęcia o tem wszystkiem, upajał się Leon gorącem uczuciem.

Obudzona w nim nagle grzeszna miłość dla pięknej zalotnej wietrznicy, zatarła w duszy jego bez śladu wspomnienie niewinnej, anielsko czystej jego małżonki!

Po wykwintnym obiedzie, podał służący deser. Baronowa wybrała sama wyborną brzoskwinię i podała ją gościowi, któremu zdawało się, że nigdy nie jadł jeszcze tak rajskiego owocu.

Piękna gospodyni podniosła zalotnie szklankę i wypiła zawartość jej na jego zdrowie. On również wychylił swój kielich, którego zawartość podziałała na niego, jak napój miłosny.

Baronowa zdawała się nie spostrzegać, co się z gościem jej dzieje i nie wychodziła ze swego spokoju i pewności siebie.

Gdy służący wniósł na tacy czarną kawę w małych filiżaneczkach, z których rozchodził się aromatyczny zapach mokki, Lola skinęła mu ręką.

— Do buduaru — rzekła.

Następnie wstała.

Leon podskoczył i skłonił się przed nią.

Baronowa ujęła jego ramię i wyszła z nim z jadalni. Odprowadził ich jadowity wzrok towarzyszki, obrażonej na Leona, że wbrew utartemu zwyczajowi nie oddał jej należnego ukłonu, stając od stołu.

— Idiota! — mruknęła szyderczo — jest jakby oszołomiony swojem szczęściem! Ciekawam jak długo to potrwa? Jeszcze kilka tygodni, a baronowa znudzona nową zabawką, odrzuci go, jak wyciśniętą cytrynę!

Refleksje te nie przeszkadzały Anastazji skorzystać z nieobecności służby i zastawionego stołu.

Ponapychała sobie kieszenie wybornemi cukrami, któremi pocieszyć się chciała w samotności swego pokoju. Wiedziała, że baronowa nie życzyła sobie teraz jej towarzystwa.

Tymczasem siedział Leon w buduarze naprzeciw swej czarodziejki.

Spojrzawszy przypadkowo na drogi zegar wahadłowy i zobaczywszy jak późno już jest, zerwał się na równe nogi, chcąc się pożegnać.

— Już się pan spieszy — skarżyła się baronowa uprzejmie, gdy zobaczyła, że on chce odejść — pozwolę panu odejść, ale tylko pod tym warunkiem, że jutro pan znów przyjdzie. Czy zgadza się pan na to?

— Pani baronowa uszczęśliwia mnie tem pozwoleniem! — jąkał się Leon, całując małą rączkę, którą mu Lola uprzejmie podała.

— A zatem proszę pana jutro rano na herbatkę, abyśmy swobodnie pogawędzić mogli — zawołała baronowa. — Przy obiedzie jest zawsze za dużo świadków: Anastazja, Franciszek, Jan, wtedy trzeba z słowami się liczyć! — A więc do jutra rana, dowidzenia, ale napewno!

Oszołomiony Leon opuścił wspaniały dom. Syrena wabiła go, a on się jej oprzeć nie mógł.

Pod wpływem gorącej namiętności kręcił się jeszcze długo i bez wytchnienia po wypróżniających się ulicach, aby uspokoić silnie bijące serce i wzburzoną krew.

Po kilku godzinach zwrócił swe kroki ku swemu domowi.

I baronowa chodziła niespokojnym krokiem po buduarze, po odejściu Leona. Zmarszczka na czole i pochmurny wyraz około jej pięknych ust, były wyrazem niezadowolenia.

— Czyż jestem dzieckiem — mówiła zirytowana — żeby się oddać tej nowej namiętności? A zresztą, nic sobie nie robię z niego, ani z całego świata. Rozumna kobieta da już sobie radę z próżnym człowiekiem. Dlaczegoż nie mam zaspokoić swoich kaprysów. Dlaczegoż nie mam choć raz zakosztować prawdziwego szczęścia?

Miłość Belli była bez namiętności, on już dawno wyszumiał; za to mój młodzieniec jest pełen ognia i uczucia.

Umiał obudzić struny w mojej duszy, które już dawno nie dźwięczały i o których myślałam, że już dawno zamarły. On będzie mnie ubóstwiał, a ja potrafię się odwdzięczyć.

Uśmiech zadowolenia ukazał się na jej ustach i z myślą o Leonie udała się baronowa spać.

ROZDZIAŁ LX

Czym po to zgrzeszył, by inny miał z tego korzyść?

Wróćmy znowu do hrabiego de Lorme, o którym wiemy, że wybrał się właśnie w podróż po Niemczech.

Arnold umiał po niemiecku bardzo mało i to mu utrudniało jego poszukiwania.

Z wielkim trudem dowiedział się, gdzie są posiadłości hrabiów Wildensteinów. Udał się wtedy niezwłocznie do Königswalden, bo mu powiedziano, że tam mieszka teraz spadkobierca całego majątku hrabiego Wildensteina.

Baron Sternfeder był nadzwyczaj zdziwiony, gdy pewnego dnia stanęła przed zamkiem elegancka dorożka, z której wysiadł smukły i wykwintnie ubrany młodzieniec.

— Gość — zawołał baron zadowolony. — Ten kawaler z pewnością nie jest żadnym podróżującym agentem z handlu win lub innych tym podobnych przedsiębiorstw!

W tejże chwili przyniósł mu jeden ze służących na tacy bilet obcego pana, a Egon czytał z zadowoleniem:

— Hrabia Arnold de Lorme.

— Bardzo mi będzie miło — powiedział Egon do służącego — proszę wprowadzić gościa do salonu.

Zaraz udał się sam również do salonu, aby gościa powitać.

Po kilku wstępnych słowach powiedział hrabia po francusku:

— Panie baronie, wyjechałem z Paryża, aby czynić poszukiwania za swoją krewną, która od jakich ośmnastu lat zniknęła bez śladu.

— Przed ośmnastu laty? Wtedy nie miałem jeszcze żadnych stosunków z płcią piękną, prócz tych, że uważałem swoją bonę za osobę bardzo godną szacunku. Nie mogę zatem być winnym zniknięciu owej pani.

— O tem nie wątpię ani chwili — odrzekł Arnold. Pani ta była małżonką pańskiego krewnego, hrabiego Ernesta Wildensteina.

— To niemożliwe — zawołał Egon niecierpliwie — mój kuzyn Ernest zmarł nieżonaty w bardzo młodym wieku.

— Przepraszam — dodał hrabia — pański kuzyn był żonaty, ale uważał to za stosowne, by się z tem nie zdradzić przed swoimi krewnymi, że poślubił pannę Desirée Saint - Cir.

— Dlaczego nie zgłosiła się wdowa po jego śmierci — zapytał Egon. — Dlaczego nigdy nie żądała od naszej rodziny tego, coby jej się należało?

— Mogę to panu wyjaśnić — odrzekł hrabia. — Młoda hrabina uwierzyła czarnym oszczerstwom, jakie zła



W jednej z kalifornijskiej miejscowości kąpielowej urządzono święto kwiatów, pod tytułem „Romans kwiatowy". Na zdjęciu widzimy fantastyczny pojazd, ozdobiony tysiącem róż.

osoba wyjawiła jej i dlatego tajemnie opuściła go. Śmierć zabrała hrabiego, zanim zdołał oczyścić się przed swą małżonką z tych niesłusznych zarzutów i przejednać ją.

Dopiero po kilku miesiącach dowiedziała się hrabina o śmierci swego męża. Wiadomość ta tak ją zmartwiła, że się rozchorowała i przez kilka tygodni wisiało nad nią niebezpieczeństwo śmierci i zaledwie wyzdrowiała, udała się w drogę, aby się oddać pod opiekę rodziny swego męża.

— Nigdy się nie zgłosiła do moich krewnych — zapewniał baron Egon. — Moi krewni są przekonani, że Ernest umarł nieżonaty. Może kuzynka pańska zamieszkała we Wiedniu i tam drugi raz zamąż wyszła.

W każdym razie upominałaby się o prawa dla swego dziecka — dorzucił obcy.

— Swego dziecka? — zapytał baron niemile zdziwiony. — A więc i tego błogosławieństwa użyczył Pan Bóg temu małżeństwu?

— Tak jest — potwierdził hrabia. — Młoda hrabina spodziewała się dziecka, nim się do Niemiec udała.

Egon mienił się ze złości. Jeżeli Desirée Saint - Cir była prawowitą małżonką jego zmarłego kuzyna, to było jej dziecko prawowitym spadkobiercą całej fortuny hrabiego Wildensteina, a Egon nie mógłby mieć nawet najmniejszych pretensji do tego spadku.

— Czym grzeszył po to, aby kto inny z tego miał korzyść? — pomyślał, zgrzytając zębami. Czym dlatego popełniał zbrodnię za zbrodnią, aby kogoś innego wzbogacić?

Bezmierna wściekłość opanowała go. Był tak rozłoszczony, że mógłby był wszystko zniszczyć i zmiażdżyć, ale był zanadto światowym człowiekiem, aby okazać co czuje w jej chwili.

— Najprawdopodobniej zmarła młoda kobieta przy narodzinach dziecka — odrzekł łagodnym, smutnym głosem — a maleństwo musiało się wkrótce przenieść także do wieczności. Gdyby nie było tak, to byłby mój wuj coś wiedział o egzystencji tego dziecka.

— Czy może mi pan dać słowo honoru, że hrabina Wildenstein nigdy się nie zgłosiła w dobrach pańskich krewnych? — pytał Arnold drżącym głosem.

— Słowo honoru mogę panu dać, — zapewniał go baron.

Gość podniósł się z krzesła, usłyszawszy te słowa.

— Dziękuję panu, panie baronie — rzekł Arnold serdecznie.

— Niech pan wizyty swej tak nie skraca — mówił baron uprzejmie. Jesteśmy przecież w powinowactwie i mam nadzieję, że pan kilka dni u mnie zostanie.

— To bardzo uprzejmie, panie baronie — odrzekł Arnold, kłaniając się. — Niestety, nie mogę korzystać z łaskawego zaproszenia. Ważne obowiązki powołują mnie w drogę.

— Czy byłoby niedyskretnie, gdybym zapytał, co za obowiązki powołują? — pytał Egon ciekawie.

— Wcale nie — odrzekł Arnold. — Moim obowiązkiem jest szukać nieustannie tej nieszczęśliwej kobiety!

— Byłoby dobrze, gdyby pan czynił poszukiwania po cmentarzach i w wykazach śmierci — radził mu Egon.

Był taki zły na spokojnego hrabiego, który tak niestrudzenie dążył do celu, że byłby z zimną krwią zabił go za to.

Ten człowiek, który swojem przedsięwzięciem mógł go wyprzeć z tego majątku, który podłym podstępem i zbrodnią sobie zdobywał, był jego śmiertelnym wrogiem.

Mimo to, był baron Egon dla hrabiego nadzwyczaj uprzejmy. Widział on, że słowa jego sprawiły bardzo niemiłe wrażenie na gościu i starał się natychmiast je zatrzeć.

Nadzwyczaj serdecznie i uprzejmie zapraszał hrabiego powtórnie do zostania, ale ten stanowczo odmówił i pożegnał się, mimo protestu barona.

Egon wyprowadził go do powozu i i prosił usilnie, by zechciał go uwiadomić, o ile starania jego osiągną pożądany skutek. Hrabia przyrzekł mu to uczynić i z powozu odpowiadał na uprzejme pożegnanie barona Egona.

Egon z ponurą miną spojrzał za odjeżdżającym gościem.

— Jeżeli dotrzyma słowa — myślał — to przynajmniej będę wiedział, jak daleko zaszedł w swoich poszukiwaniach. Teraz czemprędzej muszę wgląć



Jak donoszą z Holywood, Sonia Henie ma zamiar zaręczyć się z Tyrone Powersem jun. partnerem swego pierwszego amerykańskiego filmu. Nie wiadomo czy wiadomość ta polega na prawdzie, czy też stanowić ma tylko reklamę dla artystki.

ślub, żeby sobie przynajmniej zapewnić posąg Ady. Oświadczyłem wprawdzie z zupełną stanowczością, że kobieta taka o jakiej on mówił, nie zgłosiła się w naszej rodzinie, ale tego przecież wiedzieć nie mogę, bo przed ośmnastu laty nie wzywali mnie wcale do narad familijnych. Nieboszczyk Gerhard byłby z pewnością mógł objaśnić mnie w tej sprawie, bo on był zaufanym mego wuja, ale może i Edward będzie o tem coś wiedział, muszę go zawołać. Wybadam tego starego durnia, wprawdzie jest on bardzo małomowny, ale silne wino tokajskie rozwiąże mu usta.

Zadzwonił i kazał zawołać starego Edwarda.

Stary Edward zjawił się z uczuciem strachu, gdyż obawiał się, że baron znowu jest niezadowolony z jego jakiegoś kroku.

Z ogromnem też zdziwieniem usłyszał, gdy go baron całkiem łagodnie zapytał:

— Edwardzie, jak długo jesteś w Königswalden?

— Szesnaście lat — odparł Edward,

— Jak to nie dłużej? — zdziwił się baron.

— Przepraszam pana barona, służyłem u nieboszczyka pana hrabiego przeszło 50 lat, ale 38 lat byłem w dobrach Wildenstein.

— A, tak — rzekł Egon — to ty już jesteś starym domownikiem w naszej rodzinie, skoro ci tak służy zajęcie u nas, to może jeszcze wychowasz i moje dzieci?

Powiedziawszy to, nalał mu sam kieliszek wina; Edward nie miał śmiałości odmówić i wypił, a Egon zaraz nalał mu drugi kieliszek.

— Żebyś nam jeszcze służył z 50 lat — dodał z uśmiechem.

— Przepraszam bardzo pana barona, jeżeli podziękuję, bo nie jestem przyzwyczajony do takiego starego wina i i w głowie mi się kręci.

— No to już najwyższy czas, żebyś się raz przyzwyczaił, bo jeżeli teraz tego się nie nauczysz, to już chyba nigdy nie będziesz umiał — przekonywał wesoło Egon.

Służący posłusznie wypił.

Teraz Egon na nowo zaczął:

— Kiedy jesteś tak długo w naszej rodzinie, to jesteś prawie już członkiem rodziny i musisz być wtajemniczony w różne sprawy mego wuja.

— Jaśnie pan hrabia nieboszczyk nie miał żadnych tajemnic — rzekł stary sługa, trochę już ciężkim językiem.

— Jak to nie? — spytał Egon, wciskając mu do ręki trzeci kieliszek wina — a cóż to było z tą młodą francuską damą, która przed 18-tu laty oszukała wuja mego.

Biedny staruszek z natury nie był bardzo sprytny, a teraz wino już do reszty znużyło mu zmysły.

— Młoda francuska dama? — spytał — nic o niej nie wiem.

— Ej, przypomnij sobie — rzekł Egon — nie mówiła wcale po niemiecku — i była w błogosławionym stanie.

Edward potarł ręką skronie i rzekł:

— Nie, takiej damy wcale sobie nie przypominam w zamku Wildenteinów.

— A może tylko była we wsi, przypomnij sobie, umarła zaraz, po narodzeniu się dziecka.

Te ostatnie słowa dodał tylko tak na własną odpowiedzialność, ale Edward usłyszawszy je, zaczął sobie coś przypominać.

— A może pan baron myśli o tej pani, którą leśniczy Herbert znalazł w lesie i która umarła na drugi dzień, jak się panna Sylwia urodziła.

Ale ledwie te słowa wyrzekł, już zaczął żałować i wymawiał jakieś wyrazy, zupełnie niezrozumiale dla barona.

— A widzisz, stary Szwedzie, że wiesz, ale nie bój się, już ja tego nie zdradzę, że Sylwia nie jest rodzoną córką tych prozaicznych leśniczych.

— Na miłość Boską, panie baronie, to tak nie było, ja sam nie wiem, skąd mi się wzięło na taką głupią gadaninę, zdaje się, że to mocne wino tak mi zmysły pomieszało. Coby też leśniczy powiedział, gdyby się o tem dowiedział.

— Nie bój się, nie bój, ja nikomu o tem nie powiem, przecież mi wszystko jedno, czy Sylwia jest córką leśniczych, czy jakiejś damy, która żyła z cnotą na stopie wojennej.

— Ej, nie, to była jakaś zamężna dama — mówił Edward — bo miała na palcu szeroką złotą obrączkę, a panna Schmidt, siostra proboszcza, mówiła, że jeszcze nigdy nie widziała tak pięknej twarzy, i że dama ta, musi pochodzić z bardzo dostojnej rodziny, bo miała na sobie bardzo piękną bieliznę znaczoną i koronę dziesięciopałkową.

— Oho, to jakaś bardzo romantyczna historia — mruknął Egon — a papierów żadnych nie znaleziono przy niej?

— Nie — odparł Edward — ale zresztą panna Schmidt mogłaby najlepiej panu baronowi o wszystkiem powiedzieć.

— A gdzież owa dama jest pochowana? — spytał Egon.

— Na cmentarzu Wildenstein, panna Schmidt posadziła na jej grobie bluszcz, który się teraz musiał dobrze rozrość.

— A krzyża żadnego ani pomnika nie postawiono? — spytał Egon.

— Jest na cmentarzu krzyż, z napisem „Wieczne odpoczywanie".

Teraz Egon wiedział już wszystko, o co mu chodziło. Wiedział też, że niczego więcej od starca się nie dowie, który już tak wyglądał zmęczony.

Nie potrzebował go więcej, to i uprzejmość jego już się skończyła. Ludzie byli u niego tylko jak cytryny, które tak długo służą, jak długo jeszcze posiadają jakie soki.

Niedbale dał Edwardowi znak, aby się oddalił, ale ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegł, że ten, zresztą tak posłuszny służący, nie usłuchał natychmiast rozkazu.

— Panie baronie — zawołał Edward błagalnym głosem — postąpiłem bardzo niesłusznie, bo wyjawiłem tajemnicę, której Herbertowie tak strzegli.

— Larifari — zawołał Egon — to się zdarza najbardziej małomównym osobom, że powiedzą czasem coś za wiele. Zresztą to już przepadło i na nic się nie przyda wszelkie lamentowanie, co się raz wyrzekło, to się nie odstanie.

— Chciałem tylko pokornie prosić, aby pan baron nikomu o tem nie powiedział, bo Herbertowie umyślnie się przenieśli do Königswalden, aby tem łatwiej ukryć mogli, że Sylwia nie jest ich córką.

Bardzobym się martwił, gdyby gadatliwość moja sprawiła im jakąkolwiek przykrość.

— Nie bójcie się, nie jestem gadatliwą babą, abym wszystko, co słyszę, wypaplał.

Pilnuj tylko swojego języka, bo mnie natura dała dobrą kłódkę na usta w takich wypadkach.

— Pan baron mi wybaczy, że jestem taki natarczywy i że poproszę, aby mi pan baron dał słowo dla mego uspokojenia, — że...

(Ciąg dalszy na stronie 93)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Słodka Danuś", „Stach z pod Żnina", „Smutna Iwonka", „Biały Wrzos", „Podszamotulanka", „Słodka Królewna - Kini", „Lotos", „Niebieskooka Torunianka", „Irka z Torunia", „Smutna Ela z nad Drwęcy", „Samotna Kukułka", „Jasne Słoneczko". „Szarotka - Bydgoszczanka", „Leśniczanka z pod Jarocina", „Ada z pod Wolsztyna" „Taki jeden", „Czarnobrewa Iga", „Ziemianin S.", „Leniuszek".

OCZEKIWANIE

„Biały Zwid". „Nieśmiały szept" przypłynął do mnie i został wysłuchany...

Czeka Pan na pierwszy uśmiech przyjaźni, a więc tym, którzy nie poskąpią go Panu. zdradzam, że jest Pan młodym i miłym, pełnym zapału życia i że korespondencja z Panem przyniesie pełne zadowolenie.

„Hallo! P. Zosiu W.! W imieniu „Białego Zwidu", przesyłam Pani poniższy wierszyk:

NIE ZAPOMNIJ O MNIE...

Nie zapomnij o mnie,
Choć nie wrócą takie dni,
Gdy w noc gorącą, od bzów pachnącą,
O szczęściu swym szeptałaś mi.

A w dali kwitły wonne bzy,
Wiatr pieścił białe kwiecie,
I taką bliską byłaś mi,
W tą noc, w baśniowym świecie.

I biały kwiat paproci — kwitł,
Tonąc w księżyca jaśni,
O szczęściu dziwny szepcąc mit,
Jak w jakiej starej baśni.

Już ziemia słała chłodny świt,
Na niebios bladym łonie,
A noc baśniowych pełna zwid,
Pieściła Twoje skronie.

Dziś niema już kwitnących bzów,
Wspomnienia te, jak widma są,
Ani skrzydlatych niema snów,
Co tak pieściły duszę mą.

LIST PRZEKAZAŁAM DALEJ

„Jesienny Wicher". Dziękuję Panu z głębi serca za ostatni list, nacechowany ogromną życzliwością i serdecznością, a szczególnie za życzenia.

List przekazałam dalej, pozostało mi więc jeszcze jedno — zamieścić dopisek z listu Pana, co też czynię:

„Hallo! „Stęskniona Iro"! Dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. Czy nie zechciałaby Pani nawiązać że mną bliższego kontaktu?

„Echu Wsi" ślę gorące podziękowanie za pozdrowienia i słodkie pa!"

NADZIEJA

„Wytworny Włóczęga". Pseudonim Pana niewątpliwie poruszy całą „Krainę" i pobudzi ją do najróżniejszych domysłów. „Wytworny Włóczęga" — kto to? Na pytanie powyższe chociaż częściowo, niech odpowie poniższy list:

„Tak bym chętnie porozmawiał nieraz nawet listownie, z jakąś bratnią duszą, ale prócz czterech ścian, nie mam nikogo. Mimo to jestem jednak zawsze wesoły, bo żyję nadzieją, że i dla mnie zaświeci kiedyś jaśniejszy promyk słońca i rozpędzi szare chmury. Jestem 26-letnim, wysokim blondynem, wielkim miłośnikiem sportu i muzyki.

„Tuberozie", „Bajce", „Dumce". „Dzikiej Cygance", „Śnieżyczce", „Gwiazdeczce", „Smutnej Wandeczce", „Człowiekowi z ludu" i „Dowcipnemu Kozakowi" — ślę miłe pozdrowienia".

DECYZJA POWINNA ZAPAŚĆ SZYBKO

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy". O ile wnioskuję z listu, to praca biurowa nie odpowiada Pani i chciałaby zmienić Pani obecną posadę na inną. W związku z tym radzę Pani zamieścić odpowiednie ogłoszenie w dwutygodniku „Moja Przyjaciółka", a pewna jestem, że osiągnie Pani to, co pragnie.

Co do postawionego mi pytania, to radzę Pani iść za instynktem serca. Pozycja towarzyska, salonowa ogłada i bez zarzutu skrojone ubranie są sprawami drugorzędnymi, najważniejsze — to dobry charakter i dobre imię. Te zalety zaś, o ile się nie mylę, Najdroższy Pani posiada, więc decyzja powinna zapaść szybko.

Życzę Pani wszystkiego najlepszego i... czy można zamieścić nadesłane przez Panią zdjęcie? Czekam na aprobatę.

„DO KAŻDEGO LISTU DOŁĄCZĘ ŁADNĄ FOTOGRAFIĘ"...

„Czarująca Nina". Znajomy Pani miał rację — czy mogę Panią poprosić o nazwisko tego Pana?

Miejscowość, w której Pani zamieszkuje, znam doskonale i kto wie, czy Panią także nie. Może napisze mi Pani coś więcej o sobie? Bardzo proszę, a tymczasem podaję do wiadomości treść listu Pani:

„Po ukończeniu szkoły zamieszkałam na wsi, do której przykuła mnie na dłuższy czas posada. Nieraz czuję się ogromnie samotną, pozbawioną zupełnie odpowiedniego towarzystwa, dla tego apeluję gorąco o liściki. Na każdy odzew odpowiem długim liścikiem, do którego dołączę ładną fotografię.

Jestem wysmukłą brunetką o bujnych lokach i ciemnych, ognistych oczach. Resztę dopowiedzą moje listy.

Jak najserdeczniejsze pozdrowienia ślę dla „Marutv", „Alohy", „Podchorążego z Grudziądza", „Wirryla", „Fakira", „Marka", „Te — Em", „Dumnego Jelenia" i „Marzyciela z nad Noteci".

CO POCZĄĆ?

„Hanka z nad Niemna". Haniu moja, nie przychodzisz do mnie z prośbą o przyjęcie do „Krainy", ani z prośbą o listy, ale po to, aby wypłakać swój serdeczny ból i opowiedzieć mi swoją cichą tragedię. —

Niedawno, bo kilka tygodni temu wstecz, byłaś jeszcze szczęśliwą i beztroską, jak wolny ptak i oto przyszło nieszczęście — ten, którego ukochałaś ponad wszystko, odszedł. Zaziębił się silnie, i po krótkiej chorobie zmarł. Oto wszystko!

Słów nie wiele, a jednak w tych kilku słowach mieści się cicha, straszna tragedia dziewczęcego serduszka. I co począć wobec takiego faktu? Cóż mam Ci powiedzieć, moja Ty biedna Haniu?

Chciałabym utulić Twoje małe, drżące serduszko i powiedzieć Ci, że to jeszcze nie koniec, jak myślisz, że życie jeszcze długie przed Tobą i w to życie trzeba będzie pójść odważnie. Nie wolno myśleć o śmierci, gdy jest źle, skoro nie myśli się nigdy o niej, gdy jest dobrze. O! Haniu! Nie uwierzysz ilu ludzi idzie przez życie pod znakiem okrutnych losów i nie załamuje się! Tych ludzi — bohaterów, to całe miliony! Bądź więc i Ty silną, bo tylko siłą będziesz mogła stłumić ból i dojść do pewnej równowagi. Pisz do mnie szczerze — ja czekam i myślę o Tobie serdecznie, Siostrzyczko moja, boś smutna i taka bezradna, jak ptaszyna, której osłabiono skrzydełka w radosnym locie.

PRZYJAŹŃ

„Dzinka". W liście Pani, pełnym cichych zwierzeń, znalazłam dla siebie między in. dużo ciepła i serdeczności, dziękuję więc Pani za powyższe gorąco.

A propos tematu, poruszonego w liście, przyznaję Pani rację, że przyjaźń ludzka jest często stokroć tylko przyjaźnią z imienia, powierzchowną, a bardzo rzadko bezinteresowną i głębszą. Ktoś powiedział, że dobrego przyjaciela, trzebaby szukać w jasny dzień ze świecą i bezwątpienia, że miał rację. Przyjaźń trudno w życiu napotkać, podobnie, jak trudno znaleźć prawdziwe szczęście. Są ludzie, których życie jest wieczną tęsknotą za szczęściem i przyjaźnią i z tą niezaspokojoną tęsknotą żegnają życie. Przyjaźń — uczucie jedno z najszlachetniejszych i takich trudnych do osiągnięcia, omijało dotychczas i Panią, ale... może przyjdzie teraz, może dobry los okaże się łaskawym! Życzę szczerze!

Kilka słów, przeznaczonych dla Sympatyków, przedrukowuję:

„Hallo! „Antygono"! Masz we mnie życzliwą przyjaciółkę. Przesyłam Ci szczere uściski rąk!

„Samotna Oleńko"! Za list i szczere życzenia — całuję buzię. Gdy będzie Ci źle i smutno, napisz do mnie znowu.

„Roześmiana Ziuteńko"! Ślę Ci słowa otuchy. Wytrwaj i przyjmij moc siostrzanych uścisków.

„Sympatyczny Blondynie"! Moc pozdrowień i uśmiechów!

Jak najserdeczniej pozdrawiam również: „Nelli", „Szare Dziewczę", „Czarnulkę z pod Międzyna", „Białą Uajali" „Puera", Optymiste Sir", „Uśmiech", „Goryczę", „Mixer'a" i „Józka z pod Poznania".

MALEŃKA UWAGA

„Echo Wsi". Milutki wierszyk Pani za późno dostał się do moich rąk, dlatego też zamiast zamieścić, odkładam go do teczki, gdzie poleży do następnego roku.

Dziękuję Pani za obszerny liścik, a szczególnie za miły opis świąt, który mimowoli nasunął mi własne wspomnienia, również piękne i pogodne.

Część listu, przeznaczoną nie dla mnie, na życzenie Pani zamieszczam bardzo chętnie, ale równocześnie zwracam maleńką uwagę Pani, jak i innym Sympatykom, aby w miarę możności streszczać się w komunikatach, gdyż zabierają one zbyt dużo miejsca odpowiedziom na listy.

A teraz dziękuję Pani jeszcze w imieniu całego zespołu redakcyjnego, jak i swoim, za szczere życzenia, pozdrawiam Panią i wreszcie zamieszczam zapowiedzianą wyżej część listu Pani.

„Serdeczne pozdrowienia ślę „Smutnej Eli". Czy my się nie znamy? A może zna Pani kogoś, który zatrzymał się dzień w Brodnicy (w maju), a potem wyjechał do Częstochowy?

Podobne pozdrowienia przesyłam także „Sportowcowi — tennisiście" (jestem podobnie, jak Pan, zwolenniczką białego sportu), dalej P. Wacławowi F. z Brzeźna k. Chojnic, „Fotoamatorowi", donoszac Mu, że posiadam również własny aparat (9 x 12) i pasjami lubię robić zdjęcia.

Moc serdeczności łączę dla „Jesiennego Wichru", „Aniteńki". „Jenny", „Sonii" i „Milutkiej Leny".

ODEBRAŁAM...

„Fleur". Przesyłkę odebrałam i obecnie zbieram nowy komplet książek, które w dniach najbliższych wyślę Panu.

Nadesłane wierszyki posiadają bardzo piękne myśli. ale brak im dobrej formy.

Oczekuję nowych wiadomości i jak najserdeczniej Pana pozdrawiam.

NAJWIĘKSZĄ RADOŚCIĄ I NAJWIĘKSZĄ ZAPŁATĄ

„Mary“. Ujmujący jest Pan w swojej troskliwości o mnie — dziękuję Panu za to!

Pyta Pan, kto mnie pocieszy w smutku i kto mi zapłaci za pracę? Jeżeli chodzi o pierwsze, to zapewniam Pana, że potrzeba czyjejś pociechy nie zaistnieje nigdy u mnie i to z tej prostej przyczyny, że musi być we mnie zawsze tyle pogody, aby starczyło jej nietylko dla mnie, ale i dla setek innych osób. „Jest w pani niewyczerpany zasób pogody i równowagi życiowej“ — napisał ostatnio w swym liście pewien Sympatyk i bezwzględnie, że tak być musi. Zofia z „Krainy“, to osoba bez własnych trosk, smutków i kłopotów — musi ona zawsze uśmiechać się do tych, którzy cierpią i nieść dobre słowa ludziom smutnym i pokrzywdzonym przez los. Robi to wszystko oczywiście jak najchętniej i cieszy się ilekroć słowa jej nie idą na marne, ale przynoszą jakiś skutek. I to właśnie jest jej największą zapłatą za pracę i największą radością.

A teraz, Drogi P. „Mary“, udzielam Panu krótkich informacyj, dotyczących prenumeraty „Moich Powieści“: otóż abonament trzeba regulować punktualnie, gdyż w przeciwnym razie może Pan czasopisma nie otrzymać, względnie narazić się na przeszkody w dostaczaniu poszczególnych egzemplarzy.

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pana całą naszą „Rodzinkę“.

CHCIAŁABYM...

„Eros“. Chciałabym, aby podjęta przez Pana misja udała się, gdyż w ten sposób zostałoby powiększone dzieło, szerzone na większą skalę w „Krainie“.

„Czego pragnie Pani najbardziej? Czy pytanie moje może niedyskretne?...“

Nie powiedziałabym, aby było niedyskretne, ale trochę kłopotliwe, gdyż pragnień moich nie potrafię zamknąć w kilku słowach. Pragnę dużo, dużo... pod tym względem jestem bardzo zachłanną. Mało powiedzieć, że pragnę, aby w „Krainie“ było mniej „Smutnych Irek“, „Zawiedzionych“, „Gorczyc“ i „Samotnych“, kiedy chciałabym, aby wogóle życie było mniej utrudnione i przykre dla ludzi, aby ci ludzie starali się sami oto, aby było im jakoś lżej i możliwiej na świecie — chciałabym dużo, „Erosie“ — nie sposób poprostu wyliczyć wszystkiego!...

Pocztówki z rozwiązaniami łamigłówek wpłynęły, ale niektóre trochę za późno, dlatego pseudonim Pana nie był wyszczególniony.

Żegnam Pana serdecznymi pozdrowieniami i jak zwykle, oczekuję nowych wiadomości.

TRUDNO...

„Wirryt“. Burę, jaka spadła na moją głowę, przyjęłam z poddaniem. Trudno zawiniłam, a więc muszę teraz ponieść wszelkie konsekwencje mej winy. A teraz, po akcie „samooskarżenia“ i „samobiczowania“ poświęcam kilka słów drugiej części listu Pana:

Nie dziwię się, że spotkała Pana taka niespodzianka w korespondencji — „portret“ Pana istotnie, mógł przestraszyć, a... nie każdy jest na tyle odważny, aby niebezpieczeństwu spojrzeć prosto w twarz. Niektórzy ludzie, jak dzikie gołębie, płoszą się szybko i już nie wracają. No, czy nie mam racji? Biorąc pod uwagę wypadek Pana, to chyba tak?

Na zakończenie zostawiłam dopisek z listu Pana:

„Wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia bardzo dziękuję i wzajemnie ślę Im pozdrowienia i uściski dłoni.

Hallo! „Takie małe Coś z loczkami“! Oto moja odpowiedź na odpowiedź Pani: „Nie“ — ha, to trudno!“

W POSZUKIWANIU PRZYJAŹNI

„Smutna Irka“. Niżej podaję w streszczeniu liścik Pani, aby wszyscy dowiedzieli się, dlaczego jest Pani smutna:

„Jestem stałą Czytelniczką „Moich Powieści“ i pozostanę nią nadal. Ujęła mnie także „Kraina“ i to do tego stopnia, że i ja pragnę do niej należeć.

Mieszkam w małej wioseczce i dotkliwie odczuwam brak towarzystwa. Niedawno straciłam przyjaciółkę i ani na chwilę nie mogę pogodzić się z tym, że nie ma jej już wśród osób żyjących i że nigdy jej już nie będzie. Była to dobra dziewczyna, ufałam jej jak siostrze i przyjaźń jej ceniłam. Smutno mi, że odeszła. Tak chciałabym, aby ktoś z „Rodzinki“, choć w części zastąpił mi tę utraconą przyjaźń.

Przedstawiać się nie będę, jeżeli ktoś zainteresuje się mną, dowie się wszystkiego o mnie z listów.

Pozdrawiam wszystkie Miłe Czytelniczki i Czytelników „Moich Powieści“.

TĘSKNIĘ...

„Promyczek“. Taki malutki, złocisty promyczek wkradł się do „Krainy“ i zwierza się:

„Serduszko moje małe jest i smutne, chciałabym, aby zaświecił w nim kiedyś radosny promyk. Kocham piękno zaklęte w przyrodzie i śnię o tym, aby ktoś ofiarował mi przyjaźń. Samotność i jednostajność dokucza mi coraz więcej — tęsknię, tęsknię za czymś innym, ciekawszym i radośniejszym. Piszcie więc do mnie, Wy wszyscy, którym życie niesie stale nowe odmiany i wrażenia“.

CZY ZASTANAWIAŁA SIĘ PANI?

„Powój“. Nie wiem, czy dobrze zrobiła Pani rozstając się z Ojcem, bo przecież nieraz macocha jest bardzo dobrą kobietą i zasługuje w pełni na szacunek. Może uprzedzenie Pani do swej drugiej matki jest niesprawiedliwe? Czy zastanowiła się już Pani nad tym?

Mam dużo uznania dla pełnej poświęcenia pracy Pani i cieszę się, że pisze mi Pani o niej zawsze tak obszernie i miło.

Myślę, że nie długo będę potrzebowała czekać na nowy list od Pani. Serdecznie pozdrawiam i całuję!

TAJEMNICZOŚĆ

„Matylda“, *„Filina“*, *„Klotylda“* i *„Elstyna“* cztery czarujące, wesołe osóbki powiększyły znowu grono Sympatyczek „Krainy“. Panie te są bardzo tajemnicze, być może, że celowo, bo przecież tajemniczość zawsze najwięcej intryguje i pociąga.

O wesołej czwórce wiem tylko tyle, że chciałaby korespondować na pogodnie i że hasłem czwórki to: „Grunt się nie przejmować!“

INFORMACYJ UDZIELIĆ NIE MOGĘ

„Orlicz“. Niestety, żądanych informacyj nie mogę Panu udzielić, gdyż w poruszonych przez Pana sprawach orientuję się słabo. Przypuszczam, że najdokładniejszych wskazówek udzieli Panu redakcja „Kina“ w Warszawie.

Moc pozdrowień przesyłam z polecenia Pana „Smutnej Iwonce“, „Cyganeczce“ i „Marice“.

W „KRAINIE“ SKUPIA SIĘ OLBRZYMIA RZESZA SYMPATYKÓW

„Mixer“. Według obliczenia jednej z najwierniejszych Sympatyczek, „Elżuni z Torunia“, do „Krainy“ przybyło w ostatnich miesiącach przeszło 1000 osób, może więc Pan mieć mniej-więcej pogląd, jaka olbrzymia rzesza Sympatyków skupia się w naszej „Rodzince“.

Wyobrażam sobie, jak ta rzesza ucieszy się, gdy odbierze od Pana serdeczne pozdrowienia, a zwłaszcza „Smutna Kazieńka“, „Ku-kuk-Ce“, „Chiński Zew“ i „Niezapominajka z Pomorza“, którym to Sympatykom przesyła Pan specjalne pozdrowienia.

Czy tym razem prędzej otrzymam nowe wiadomości od Pana?

Teczka Wujka Janusza

DZIĘKUJĘ I PROSZĘ O CZĘSTSZĄ PAMIĘĆ!

„Bajka“. Ostatnio odbieram bardzo rzadko listy od Pani, to też ucieszyłem się ogromnie gdy otrzymałem w ostatnim tygodniu obszerny liścik od Pani. Dziękuję i proszę o częstszą pamięć!

Pyta Pani, jak spędziłem święta? Otóż tak samo wesoło i beztrosko, jak Pani. Czyż zresztą można nie cieszyć się, gdy raz w roku jest inaczej, niż zwykle, gdy w pokoju pachnie lasem i gdy wokół wyczuwa się ciepłą atmosferę, złożoną z radości i życzliwości?... Podczas tych miłych świątecznych chwil i ja pomyślałem o moich Sympatykach i przesłałem im w myśli jak najlepsze życzenia.

A teraz żegnam Panią serdecznymi pozdrowieniami i zamieszczam tylko kilka „komunikatów“ Pani, bo... wszystkie nie zmieszczą się.

„Hallo! „Rudi“! Czy otrzymał Pan ode mnie odpowiedź? Chyba teraz już jestem zrehabilitowana w oczach Pana?

„Waldy“! Przypominam sobie Pana doskonale i nigdy nie zapomnę, jak nam się dobrze tańczyło w E. Prosi Pan bym znowu napisała — chyba do „Krainy“, bo, co do osobistej korespondencji, to w dalszym ciągu czekam na pierwszy liścik od Pana. Odkryciem mego pseudonimu jestem istotnie zaaferowana. Kto zdradził? Pozdrowienia odwzajemniam serdecznym uściskiem dłoni.

Wesoły Kozaczku“! Owszem, nawiążę z Tobą, korespondencję, ale napisz pierwszy. Miłe pozdrawiam!

„Lawrence“! Wywody Pana, dotyczące korespondencji z Sympatykami „Krainy“, podzielam w pełni. Podoba mi się sposób myślenia Pana, więc chciałabym trochę podyskutować z Panem“.

WIERSZE NIE PRZEMYŚLANE

„Sportsmenka“. Wierszyki, przesłane przez Panią do „Krainy“, dostały się do moich rąk, wydaję więc o nich odpowiednią opinię:

Wierszyki: „Karnawał“ i „Zimowe Wieczory“ są dość miłe, ale posiadają miejscami niedociągnięcia.

Szampan się perli, strumieniem leje,
Wiruje zawrotnie tłum, .
Czerwone wino rozpala, grzeje,
Strzelają korki... bum...!

W zwrotce tej wyczuwa się, że wychodzi Pani na łatwiznę, a to w poezji nie jest dozwolone. W przyszłości radzę Pani każde zdanie w wierszu przemyśleć, a napewno utwory Pani będą posiadały należytą wartość i będę je mógł z całym spokojem oddać do druku. Łączę miłe pozdrowienia!

SŁABO OPRACOWANE

„Te-Em“. Nadesłany szkic jest za słabo opracowany, tak samo wierszyk. Same niepowodzenia, ale jak już tyle razy powiedziałem — „nie od razu Kraków zbudowano“.

Rękopis powieści odebrałem i w najbliższych tygodniach doniosę Panu, czy będzie odpowiedni do druku.

Przesyłam Panu miłe pozdrowienia i wyrażam nadzieję, że wznowiony przez Pana kontakt nie ulegnie tak szybko zmianie?

(„Post scriptum z listu „Te-Em:“).

„Pozdrawiam serdecznie: „Basię“, „Dumke“ „Duśkę“ i „Kogoś“ miłego i kochanego z Poznania. Poza tym pozdrowienia dla wszystkich z Uniwerku Poznańskiego“.

CZEKAM CIERPLIWIE

„Szara Fala“. W nadesłanych wierszykach tkwi pewna iskierka talentu, ale jeszcze dużo wody upłynie, nim iskierkę tę rozdmucha Pani w szlachetny ogień. Radzę Pani czytać dużo poezyj, studiować uważnie formy poszczególnych wierszy i pisać narazie dla własnej przyjemności. Skoro zaś wyczuje Pani, że utwory są dość dobre, proszę, niech mi je Pani nadeśle do oceny. Serdecznie pozdrawiam i czekam cierpliwie na rezultat moich wskazówek.

UCIESZĘ SIĘ

„Przedwiośnie“. Nie gniewam się na Panią — skądże? — przeciwnie jestem zadowolony, że moja skromna osoba zainteresowała Panią. List Pani odebrałem — bardzo dziękuję! Tak samo za miłe życzenia!

Ucieszę się, jeżeli kiedyś znowu odbiorę kilka słów od Pani.

WIERSZE CORAZ GŁADSZE

„Złote Jabłko“. Za ujmujące życzenia — dziękuję Panu z całego serca.

Wiersze coraz gładsze — jeszcze czas jakiś, a napewno będą zupełnie dobre. Czekam na tę chwilę, w której będę mógł powinszować Panu dopięcia celu, a tymczasem żegnam Pana mocnym uściskiem dłoni.

NOWELKA DOBRA

P. Lech T. — Poznań. Nowelka — „Powrót z niewoli“ — dobra. Zamieściliśmy ją w ostatnim numerze. Proszę Pana o nadsyłanie dalszych prac i jak najserdeczniej pozdrawiam.

Raj kobiet



I 67 090 Elegancka suknia wieczorowa, wykonana z delikatnej koronki — posiada tę cechę praktyczną, że można nadać jej inny wyraz przez zmianę tła. Naprzykład na skromniejsze przyjęcie dać można tło ciemne, stonowane, na bale — jaskrawsze. Oryginalne są rękawy, złączone na plecach w formie skrzydeł. Ilość materiału około 4,40 m. 90 cm. szer.

I 67 089 Suknia na skromniejsze wieczorowe przyjęcie z czarnej tafty w barwny deseń z materiału obecnie bardzo modnego. Niezwykle dekoracyjny jest krój kołnierza. Długość sukienki — do kostek. Potrzeba około 6 m. tafty, szerokości 90 cm.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,90 zł za sztukę.

Serce ludzkie dziwnymi droagmi kroczy...

Dziwny romans, oparty na prawdziwych przeżyciach, rozegrał się w poważnym ośrodku naukowym Belgii, Leodium, oraz w uroczej stolicy naddunajskiej Budapeszcie.

Na uniwersytecie leodyjskim wykładowcą historii był przystojny 33-letni profesor, Ludwik Pissens. Wśród licznej grupy studentów oraz pilnych uczniów profesora znajdowała się kruczowłosa Maria Shery, wysłana jako stypendystka rządu węgierskiego do Leodium. Dobrze oceniający inteligencję i subtelną urodę swych studentek profesor odrazu upodobał sobie 21-letnią utalentowaną słuchaczkę Marię Shery. Pod zimnym pozornie obliczem uczonego kryła się głęboka tajona chęć poślubienia Marii Shery. Ale zawsze chętna do nauki i pracowita Marysia chwile wolne od seminariów i wykładów spędzała w gronie młodych i wesołych kolegów z różnych państw Europy. Czas szybko upływał i trochę niezaradny profesor, rokrocznie wykładający historię polityczną Europy, nie miał albo nie szukał okazji, by poprostu zwierzyć się swej słuchaczce z żywionych wobec niej uczuć miłości. 4-letnie studia zakończyły się i Maria z dyplomem w ręku wyjechała do swej ojczyzny.

Nastąpiło to bez jakiegokolwiek pożegnania, choć Maria, zdaniem profesora, powinna była domyśleć się zewnętrznych objawów sympatii cenionego profesora. Strasznie to go zmartwiło i dowiedziawszy się adresu i skromnych warunków życia rodziców Marii, napisał do niej serdeczny list. W liście tym obszernie wynurzył swe myśli, po czym tak sformułował swój stosunek na tle życia akademickiego w Leodium: „Wiem, że tworzymy dwie zupełnie odrębne indywidualności. Pani, zawsze roześmiana i roztańczona, woli wesele i urozmaicone pożycie małżeńskie. Zagrzebałem się w nauce, lecz to nie wystarczy. Muszę mieć coś nieuchwytnego, co potrafiłbym tak gorąco pokochać, że nawet szczęście przebywania wśród książek i archiwów porzuciłbym dla promiennego uśmiechu bliskiej mi istoty. Proszę dać mi swą rękę, a wspól będziemy dzielić swe troski i radości, jakich los nie szczędzi ludziom. Oczekuję na życzliwe ustosunkowanie się do mej gorącej prośby, wyrwanej z dna serca. Gorąco oddany — Ludwik Pissens.

Upłynęły tygodnie i miesiące. Profesor nadal wykładał na wydziale humanistycznym. Ślęczał nocami nad książką i pochylił się nieco. Pełne wdzięku wykłady zdobywały mu ogólną życzliwość i rozgłos w świecie naukowym. Już przekroczył czterdziestkę. Ujmujący uśmiech, jakim obsypywał wszystkie swe słuchaczki, płynął z oblicza jasnego i idealnie szlachetnego. To była maska. Brak listu z Budapesztu skłonił go do przedsięwzięcia nowego planu. Nie mogąc uzyskać pozycji naukowej w gronie profesorów wszechnicy budapeszteńskiej, przerwał wykłady podjął oszczędności, spieniężył cały majątek i z kuframi, pełnymi dzieł i rękopisów, wyjechał. Pożegnał się z Belgią i udał się do Budapesztu. Był teraz niczym. Postanowił wobec tego zaimponować ukochanej posiadanym majątkiem. Przy ulicy Wiedeńskiej otworzył z posiadanych zasobów gotówki skład towarów kolonialnych. Sam objął kierownictwo interesu, oczekując chwili, by weszła doń, jako klientka, niezapomniana Mary. To go nie spotkało. Uzbroił się więc w największy zasób odwagi i poszedł do domu Marysi z oficjalną wizytą. Przedstawił się rodzicom i w głębokim tonie złożył im prośbę o dłoń córki. Zapewnił jej dobrą egzystencję i powodzenie. Niestety los chciał inaczej. W oczach Marysi zaperliły się łzy i oświadczyła swym biednym i aprobującym małżeństwo rodzicom, że już dokonała wyboru i nie wolno jej łamać przyrzeczenia. Nie poskutkowały błagania matki oraz drgający, niespokojny głos profesora. Marysia była uparta i niezłomnie trwała w postanowieniu poślubienia innego człowieka. Postanowienie Marysi tak zdecydowane i niezmienne podziałało na uczonego jak piorun z jasnego nieba. Odbiło się to na kolorze włosów, które nabrały białego, gołębiego odcienia. W przeciągu kilku dni zlikwidował tak dobrze zapowiadające się przedsiębiorstwo, zapakował walizki i szybko wyjechał do swej belgijskiej ojczyzny.

Nie złamał się jednak pod ciężarem tych nerwowych i szarpiących przejść. Wrócił na drogę mu zawsze wiernych i bliskich badań naukowych. W początkach stycznia w gablotce uniwersyteckiej w Leodium pojawiło się następujące ogłoszenie: „Z dniem dzisiejszym podjęte zostały po chwilowej przerwie wykłady historii politycznej, — Ludwik Pissens".

Ze świata

Nieporównany malarz dziecięcego uroku

Antonio Allegri jest znany powszechnie raczej ze swego przydomka Correggio, aniżeli z nazwiska. Wszelkie galerie nietylko europejskie, lecz i amerykańskie szczycą się z posiadania tego lub owego jego dzieła.

Malarstwo włoskie jest wspaniałym ogrodem, który wydał cudne kwiaty w postaci arcydzieł wielkich mistrzów. Jednym jednak z najbardziej pociągających jest właśnie Correggio. Prace jego odznaczają się miękkością koloru i nieporównanym wdziękiem.

Bogactwo barw obrazów Correggia da się porównać chyba tylko z kobiercem kwiatów, czarujących w najpiękniejszym okresie roku. Poza tym, czy to jeśli chodzi o światła i cienie, czy też o formę niema artysty, któryby mu dorównał. Postacie wyobrażane w jego dziełach mają pociągający uśmiech i poprostu zniewalają widza do długiej kontemplacji piękna.

Święci z jego obrazów, to naprawdę postacie zażywające błogiego szczęścia niebiańskiego.

Najbardziej jednak porywają nas pełne uroku twarzyczki dziecięce. Artysta ten umiał zakląć w nich naiwność i filuterność. Ciałko dziecka tryska zdrowiem. Widoczną jest rzeczą, że ten urok dziecięcy to główny cel obrazu. Weźmy naprzykład obraz zzatytułowany „Dzień", gdzie Dzieciątko Jezus stanowi przedmiot uwielbienia wszystkich umieszczonych w obrazie postaci. Matka Boska z miłością spogląda na siedzące na Jej łonie Dziecię. Święta Katarzyna z rozczuleniem całuje jego nóżkę. Święty Hieronim dla rozerwania Dzięcięcia trzyma przed niem otwartą książkę, który kartki przewraca anioł. Dziecię wyciąga rączkę ku książce z widocznem zadowoleniem.

A jakże rojno jest od przemiłych aniołków w obrazach Correggia. Jakże ożywiają konieczną powagę i skupienie świętych. Ruchliwe niemal rozbawione istotki o rozkosznych twarzyczkach, mimowoli sprawiają radość naszemu sercu.

Szczyt tego uroku dziecięctwa osiągnął Correggio we fresku namalowanym na suficie klasztornym św. Pawła w Parmie. Wśród splotu winorośli i owoców, umieścił on szereg okienek owalnych, z których wygląda jeden, a niekiedy dwa aniołki.

Żałować można krótkiego życia Correggia, który i tak zresztą dał dowód wielkiej pracowitości. Ale jakże jeszcze wielu mógłby dokonać rzeczy, gdyby nie wczesna śmierć nieubłagana. Mistrzem jego był Lorenzo Costa. Wielka jest jednak indywidualność Correggia nie pozwala mu wzorować się na kimkolwiek, a więc nawet na swoim mistrzu. Sztuka otworzyła przed nim jemu tylko właściwą drogę. Do najważniejszych jego arcydzieł należy zaliczyć wspomniany „Dzień", poza tym „Żłóbek" z Galerii drezdeńskiej, zwany inaczej „Nocą", a to ze względu na efekty świetlane, oraz „Madonna" z Galerii w Parmnie. Wśród najlepszych fresków jego, uwydatnia się kopuła św. Jana w Parmie, gdzie wspaniałe połączenie barw błękitu, złota i srebra, dają wrażenie Nieba.

Prawdziwa poezja sztuki malarskiej!

Tabakierki pod licytacyjnym młotkiem

W Londynie odbyła się w tych dniach licytacja zbioru tabakierek, za które nowy amator zapłacił 403 tysiące funtów szterlingów — 1,966,640 dolarów.

Była to kolekcja niejakiego C. H. T. Hawkinsa, zmarłego przed 30-tu laty. Hawkins uprawiał swoje „hobby" przez 60 lat, utrzymując blisko w każdym kraju agentów, którzy zajmowali się wyławianiem osobliwych i kosztownych tabakier. Na to poświęcał on co roku połowę swego dochodu, wynoszącego około 100 tysięcy dolarów rocznie.

W końcu Hawkins nazbierał tyle tabakierek, iż urządził specjalne muzeum tabakierczane w kamienicy w Londynie.

Przedstawienia cyrkowe w szpitalach amerykańskich

W Ameryce rozpowszechnia się coraz bardziej teoria, niektórych lekarzy, iż ludzie śmiejący się prędzej dochodzą do zdrowia, aniżeli przebywający w ponurem usposobieniu. Otóż postanowiono w niektórych szpitalach z jednej strony uprzyjemnić czas chorym, z drugiej zaś, zastosować tę propagowaną teorię w praktyce, wobec czego są tam angażowani specjalni klowni cyrkowi, aby chorym, zgromadzonym na otwartej przestrzeni, zarówno rekonwalescentom, mogącym już chodzić o własnych siłach jak chorym, znajdującym się w fotelach, czy nawet w łóżkach, dostarczali w przeciągu paru godzin pobudzających do śmiechu rozrywek i w ten sposób usuwali melancholię, ból, a nawet wszelką chorobę licznych pacjentów szpitalnych.

Post londyńskiego krokodyla

Najstarszym obywatelem londyńskiego ogrodu zoologicznego jest stuletni krokodyl zwany „Georg". W październiku ubiegłego roku pupil odmówił przyjmowania pokarmu i mimo, że jego opiekunowie podsuwali mu najlepsze kąski trwał w uporze i nie patrząc nawet w stronę mis z pożywieniem, leżał godzinami jakoby w półśnie, nieruchomo w kącie wielkiej klatki. Ostatnio w przystępie dobrego humoru lub korzystając z pięknej pogody „staruszek" opuścił legowisko i przepłynął wokół basenu. Jedzeniem jednak pogardził i pozostawił nietknięte. Cały personel ogrodu z zainteresowaniem śledzi wciąż życie ulubieńca i z niepokojem myśli o tym, na jaki okres czasu starczą krokodylowi nagromadzone w okresie dobrego apetytu zapasy i jak długo „Georg" będzie mógł pościć.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

 uł. Witold Mataczyński — Łysinin.

Cier	sła	wa	zem	wość
si	ra	pli	bość	ża
za	u	ły	i	naj
wy	szej	go	ne	a
dność	są	są	wiek	ła

SZARADA

pod. W. M.

Pierwsza — trzecia, drugiej druga
Na okręcie się znajduje,
Druga — trzecia, ni ksiądz, ni pop
Lecz Mojżesza wiary sługa,
Całość — każdy wojak dzierży,
Jeżeli trza, to w wroga mierzy.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 5 lutego br.

Rozwiązanie zadań z nr. 3 „Moich Powieści": Rozsypanka sylabowa: „Lepsza w maju jedna chwilka, niż w jesieni całe grudnie". Bilety wizytowe: Dekorator, artysta, żegiarz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: H. Walczakówna — Żnin, J. Stęczniewska — Gorzyce Wielkie, Witold Mataczyński — Łysinin. „Terenia z pod Wrześni", Mieczysław Brodnicki — Starogard, Mieczysław Bartkowiak — Starogard, Bola Cerkaska — Mogilno, Edward Kisiel — Starylas, Maryla Waszakówna — Grochowiska, Franciszek Zagdański — Bartków, „Banialuka", Kazimiera Przybyłówna — Morakówko, Estera Matuszakówna — Góra, Kazimierz Zakrzewski — Świecie, Eleonora Nowakówna — Chełmża, Maria Dziomdziorzanka — Łódź, „Eros", B. Kłolska — Czepów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: J. Stęczniewskiej z Gorzyc Wielkich i Mieczysławowi Bartkowiakowi z Starogardu.

ADAM CZEKALSKI

Marzenie z „poste - restante"

Nowela

Miał dwadzieścia dwa lata, służył w urzędzie pocztowym i pobierał 120 złotych miesięcznej pensji. Było to mało, nawet bardzo mało, lecz był skromnym, zadawalał się małem i umiał żyć bez weksli. Miał jeden garnitur służbowy, a drugi świąteczny, uszyty przez taniego krawca za 60 złotych na spłaty miesięczne po po 10 złotych. Przez sześć miesięcy odmawiał sobie wielu rzeczy i garnitur ten był przedmiotem specjalnej jego troski. Wydawał on mu się szczytem elegancji, zwłaszcza od czasu, kiedy dodał do kompletu barwny, pstry krawat, kupiony w sklepie, gdzie towary sprzedawano w cenie jednolitej 50 groszy — i szpilkę do krawatu z wielkim sztucznym brylantem.

Był artystą. Wciąż marzył o gitarze, aż pewnego razu, otrzymawszy z działu spadkowego po rodzicach 100 złotych, uskutecznił i to najgorętsze swoje pragnienie. — Teraz życie miał wypełnione. Wczesnym rankiem wychodził do służby i w ciągu czterech godzin przedpołudniowych sumiennie spełniał swoje obowiązki. Wróciwszy w południe do domu, zjadał spokojnie obiad u swej gospodyni, właścicielki sklepiku tytuniowego, otyłej i sentymentalnej wdowy w w wieku balzakowskim, potajemnie kochającej się w swoim lokatorze, poczem udawał się do swego pokoju na wypoczynek. Wieczorem, po pracy czytywał w domu z namiętnością i upojeniem wstrząsająco - tragiczne romanse, pożyczane u kolegów pocztowych, lub kupowane w kioskach po 45 groszy sztuka, albo oddawał się marzeniom i grze na gitarze. Kolegów swych zasadniczo unikał. Nie pociągały go też ani romansowe szwaczki, ani sentymentalne służące, ani koleżeńskie birbantki. Wolał marzyć o czarującej nieznajomej z łagodnemi oczyma, otoczonej atmosferą subtelnych zapachów, posłusznej jak niewolnica... I podchodząc do lustra, w którem odbijała się jego szeroka twarz z surowym i odstraszającym wzrokiem wielkich dobrych niebieskich oczu, z grubemi wargami, z burzą szczeciniastych, bezbarwnych włosów, które niemiłosiernie kilka razy dziennie usiłował przygładzić mokrą szczotką — myślał o tem, że można go kochać, bo w jego powierzchowności jest coś artystycznego i — był zadowolony z siebie... Wtedy brał gitarę i śpiewał pewnym, śmiałym i niezłym swym głosem:

Hej szczęście do mnie płynie,
jak korab z sinej dali...

Ale nie zawsze tak bywało. I na niego, chociaż rzadko przychodziły chwile smutki i rozmarzonej tęsknicy. Wydawało mu się w takich chwilach, że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na tym ziemskim padole zgrzytania zębami, że jego nie może pokochać taka kobieta, o jakiej marzył, bo ma cielęcy wyraz twarzy i 120 zł miesięcznej pensji... Wtedy smętnie kiwał głową i śpiewał rzewnie, przygrywając na gitarze.

„Już nie będę ci śpiewał i nie będę ci grał,
wicher będzie mi szumiał, wicher będzie
mi łkał..."

Śpiewał smutnie, a przez napółotwarte drzwi pokoju zaglądała szeroka, owalna twarz jego gospodyni z oczami pełnemi łez i czasem dawał się słyszeć jej ciężki oddech.

Ale gospodyni tylko zrzadka odważała się przemówić.

— Eh, głupstwo, panie Serafinie, niema to jak panu! Taki artysta, a i przystojnością kasuje pan niejednego.

I spoglądała na niego wzrokiem, który dopowiadał:

— A dla mnie najpiękniejszy ze wszystkich.

Lecz „artysta" głęboko wzdychał, gładził dłonią swoją szczecinę, a chociaż w duchu był uradowany jej zdaniem, odpowiadał smętnie:

— Eh, droga pani Beczkowiczowa, jestem samotny, jak ten kołek w płocie — dusza artysty zawsze jest samotna!

I w tym miejscu jeszcze głębiej wzdychał. W takich chwilach wewnętrznego rozstroju, przelinał często swoje imię.

— Serafin, Serafin... u stu milionów pułków diabelskich, czy nie mogli mnie nazwać choćby już Jan, Stanisław, albo Józef? Ale nie, jak na złość musiało być Serafin! Nawet nie każdego sługę tak nazywają!

I w myślach kombinował sobie, jak go będzie nazywało jego marzenie, gdy się w nim zakocha.

W chwili spokoju i równowagi duchowej nawet mu się podobało jego imię, więc wyobrażał sobie miłosny szept, dźwięczący mu nad uchem:

— Seraf, Serafku!... i radośnie się uśmiechał.

Czyż tak wiele potrzeba do szczęścia!

* * *

Była godzina dziewiąta. W drzwi urzędu pocztowego wchodzili i wychodzili interesanci, odbierający pieniądze, nadający listy i paczki. Serafin Kościołek formalnie się dusił. Pot wielkiemi kroplami zlewał mu czoło i twarz, a on obcierał go zakurzonymi rękami. Nieposłuszna czupryna, tak troskliwie przygładzona zwykle rankiem, buntowała się przeciwko wszelkiej dyscyplinie ostrej szczotki. I naraz nad jego głową, nad tą zbuntowaną czupryną, ozwał się dźwięczny, młody głos:

— Czy tu wydaje się listy „poste - restante"?

Serafin Kościołek podniósł głowę i oniemiał.

Ona, ona, zupełnie taka sama, jak ją sobie wyobrażał w marzeniach, stała przed nim! Wiał od niej aromat subtelnych, najlepszych perfum, takich, jakie miał możność dość rzadko wąchać, przechadzając się w święta po Głównej, podczas gdy obok z elegancją, szeleszcząc delikatnie jedwabiami, jak zjawa — przechodziła kobieta obcego mu świata.

Jej wielkie jasno - niebieskie oczy radośnie patrzyły na niego; cała spowita była w jedwabie: jedwabne lekkie okrycie, jedwabny mały kapelusik, jedwabna mała woalka — jedwabie wszędzie... Wydawała się lekko zmieszana, zrzadka, trwożliwie oglądając się wokoło. Widocznie poraz pierwszy znalazła się w takim położeniu.

Serafin Kościołek wpatrywał się w nią osłupiały. Powtórzyła pytanie.

— Tutaj, tutaj! — odpowiedział pospiesznie i drżącemi rękami wyjął paczkę listów „poste - restante".

— Litery W. Z. — rzekła.

Wyszukał w paczce list żądany i podał go jej drżącą ręką. Maleńka rączka w jasnej rękawiczce szybko i chciwie chwyciła kopertę, niby jakąś niezwykłą zdobycz, twarzyczka się ożywiła... Rzuciła mu krótkie „dziękuję" i znikła jak cień w blasku dnia słonecznego. Serafin zapewne długo patrzyłby był za nią, gdyby mu nie przypomniano jego obowiązków.

Tego wieczoru Serafin Kościołek nie grał nawet na gitarze. Leżał na łóżku, uśmiechał się, marszczył brwi i puszczał wodze myślom, które nurtowały w jego głowie. Był przekonany, że ona jeszcze przyjdzie, że ją zatem znów zobaczy. Następnie zajęła go myśl, co oznaczają litery na liście: „W. Z." — jej imię i nazwisko? Jakież to może być imię na W? Walentyna, Wanda, Weronika, Wiktoria?

Jej z pewnością musi być Wiktoria! — zdecydował.

Zimą był w kinoteatrze na filmie „Wiktoria i jej huzar", zdecydował więc, że jej musi być na imię Wiktoria. Ale od kogo pochodzą listy? I serce ścisnęło mu się z bólu. Nie, lepiej o tem nie myśleć! Cały wieczór przeleżał w rozkosznych marzeniach...

Nazajutrz rano z radością udał się do urzędu, przypominając sobie wczorajsze spotkanie. Ale minął dzień jeden, drugi, a marzenie jego nie przychodziło. Kiedy, jak zwykle, przyszedł w piątek do pracy i odbierał listy „poste - restante", o mało nie krzyknął z radości, ujrzawszy upragnione litery. Ostrożnie odłożył list na bok; miał nawet zamiar zawinąć go w chusteczkę do nosa, ale obawiał się, że kontroler może zwrócić na to uwagę. Następnie przypomniał sobie, że wczoraj był w łaźni, i że jego włosy specjalnie rozłażą się na wszykie strony. Skoczył więc coprędzej do sąsiedniego pokoju, gdzie wisiało lusterko i uporczywie zaczął przygładzać oporną czuprynę, lecz ta wogóle nie chciała się poddawać. W rozpaczy ślinił nawet palce, ale i to niewiele pomagało.

— Panie Kościołek! — rozległ się nagle głos kontrolera. — Zostaw pan to zajęcie do domu.

Serafin z przestrachem odłożył szczotkę i zdetonowany mruknął:

— Przepraszam, nie zdążyłem...

(Dokończenie nastąpi.)

— Daj spokój, już mi za dużo tego dobrego — zawołał Egon ostro — wino ci naprawdę pomieszało w głowie, czy myślisz, że ja każdemu lokajowi daję słowo honoru? Powiedziałem ci już, że mnie cała ta sprawa nic nie obchodzi. Ile razy mam ci to powtarzać?

— Niech się pan baron nie gniewa — odparł Edward pokornie — jestem tu już tak długo w służbie, tak wiernie służyłem rodzinie pana barona, że nie myślałem, iż to moje życzenie tak bardzo pana barona rozgniewa.

— Ależ to jest bezczelność z twej strony — zapewniał Egon z błyszczącemi oczyma.

Czy może ja tobie mam drzwi otworzyć, czy może sam wyjść z pokoju, aby mieć już raz święty spokój?

Edward rzucił brutalnemu baronowi spojrzenie pełne wyrzutu i wyszedł z pokoju.

Egon zostawszy sam, chodził niespokojnym krokiem po pokoju.

— A więc ta piękna Sylwia jest właściwie spadkobierczynią tych wszystkich dóbr. Najpewniejszą spekulacją byłoby to, żeby się z nią ożenić i w ten sposób zapewnić sobie posiadanie tego całego, tak ogromnego majątku.

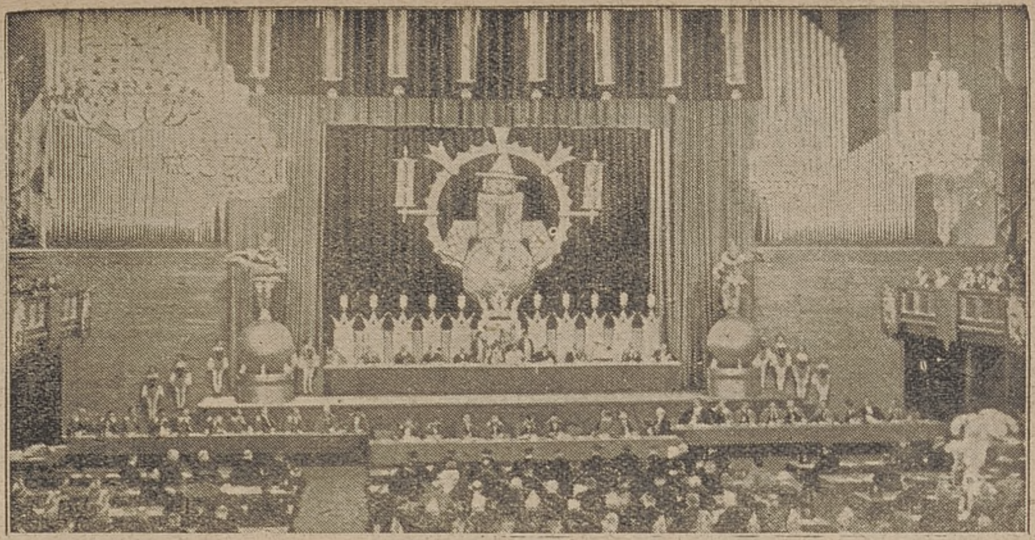
Właściwie ożenek nie byłby taki zły, tylko trzebaby przezwyciężyć dwie trudności.

Pierwsza, to moje przedwczesne zaręczyny z Adą. Ale nie mógłbym się wycofać? Przecież ja mam wprawę w tego rodzaju koziołkach. Ileż to razy zdawało się, że wkładałem jakiemuś dziewczęciu pierścionek na palec, żądając później jego zwrotu. Zdarzało się nieraz, że to trwało długo, nigdy jednak dłużej niż 4 tygodnie.

Ale wtedy to była zawsze sprawa z jakiemiś szwaczkami, sklepikarkami, albo modniarkami. Wprawdzie płacz był wielki, gdy im opowiadałem, że stosunki mnie zmuszają, abym zadał sercu kłam, żadna jednak nie odważyła się opierać albo robić wyrzuty, oprócz tej jednej Mali bezczelnej. Z Adą, to zupełnie inna sprawa. Gdybym nie miał jakiegoś ważniejszego powodu do zerwania, to naraziłbym się z pewnością na kilkanaście pojedynków.

Namyślał się przez jakiś czas, a potym uderzając się w czoło, zawołał:

— A sprawa z malarzem? Zaręczając się z Adą, udawałem, że nic nie wiem, ale przecież znam tę całą sprawę bardzo dobrze. Teraz plebejusz zblamował Adę śmiertelnie, mógłbym udawać, że teraz dopiero dowiedziałem się o wszystkiem. Ale wtedy zechce hrabia Dornbruch wiedzieć, od kogom się to wszystko dowiedział, nie mógłbym podać nikogo, chyba skłamać, że któryś z naszych znajomych ze szlachty, ale to byłoby bardzo podle z mojej strony, a zresztą człowiek wskazany, byłby obrażony i wyzwałby mnie także na pojedynek. Jedyne, cobym mógł to zrobić to mógłbym skłamać, że od samego malarza dowiedziałem się o całej sprawie. Mojem zdaniem, on nie jest zdolnym do dania satysfakcji. Nie odpowiedziałbym nawet na jego wezwanie. Jeżeli podwójnie obrażony ojciec zechce się z nim rozprawić, to niech oni między sobą się rozprawią. — Pytanie jest tylko, czy Sylwia chciałaby mnie. Niestety, muszę przyznać, że wcale nie jestem pewny tego. Ona tak się trzyma rękami i nogami tego Wernera, że nie mam najmniejszych widoków, aby ją kiedyś zdobyć dla siebie.



W sali niemieckiego muzeum w Monachium odbyło się corocznie otwarcie okresu karnawałowego, przez burmistrza Monachium Fichlera. Wiele innych miast wysyła delegacje, celem brania udziału w tej uroczystości.

W takim razie nie miałoby wogóle sensu zrywać korzystnego bądź co bądź związku z Dornbruchami. Niech zostanie lepiej tak, jak było. Nie mogę zrobić nic innego. Muszę się namyśleć, w jaki sposób zabezpieczyć się od roszczeń Sylwii spadku. Trzeba przedsięwziąć jakieś kroki.

Pojadę przede wszystkiem do Wildensteinu i od tej panny Schmidt dowiem się o szczegółach tej sprawy.

Naturalnie nikt tutaj nie śmie się dowiedzieć, dokąd jadę, bo stary Edward zaraz by się domyślał, po co. Boże, jakim on też jest dla mnie niewygodnym. Skoro będę tylko tu samowładnym panem, postaram się pozbyć wszystkich niewygodnych ludzi.

Ta myśl, że będzie mógł starszą służbę odprawić, skoro tylko ich panem zostanie, sprawiała mu wielkie zadowolenie.

Śmiał się z zadowoleniem, po tym zaczął sobie gwizdać melodię z jakiejś opery, potem zacierał ręce i zawołał do siebie:

— Tylko nie tracić głowy. Taka przejażdżka do Wildensteinu, może mi się przydać.

Egon wyciągnął swoją notatkę i wonny bilet, aby napisać do Ady słów kilka, w których jej donosi, że ważne sprawy powołują go w podróż, i że dlatego będzie sobie musiał przez kilka dni odmówić przyjemności widzenia swej ubóstwianej narzeczonej.

Treść bileciku była pełna pochlebstw i nikt nie mógłby był zauważyć i przeczuć, że Egon całkiem serio zastanawiał się nad tym, czy nie byłoby dla niego o wiele korzystniej zerwać zaręczyny z hrabianką Adą Dornbruch.

Skończywszy list i zamknąwszy kopertę, polecił Egon ogrodnikowi, aby z najpiękniejszych kwiatów bukiet sporządził i natychmiast, wraz z biletem, zaniósł do hrabianki.

Tymczasem nadszedł wieczór. Egon zjadł z bardzo dobrym apetytem kolację, po tym zapalił cygaro, położył się na szezlongu i układał plany. Na koniec wyciągnął notes i rozejrzawszy się w rozkładzie jazdy i wypisawszy potrzebne dla siebie uwagi, udał się do biblioteki, ziewając. Ale poważna lektura, jaką tam znalazł, nie odpowiadała mu i ziewając, wsunął napowrót do szafy wyjęte książki.

— Tam do diabła — zawołał — zanadto nudno być cierpliwym. Ja się tu na śmierć zamęczam. Taka dziewczyna jak Mala, byłaby tu nieocenioną. Jak się ożenię, do przede wszystkiem opuszczę to nędzne gniazdo. Co za szkoda, że ta czarnooka kokietka, która tak wesoło gawędzić umiała, z tym głupim mężem wyjechała. Byłaby mi pomogła skracać przyjemnie te długie wieczorne godziny.

Mógłbym sobie jakiego towarzysza zaprosić, ale komu by się też chciało w tem pustkowiu mieszkać.. Ten Alojzy jest nieznośny. Każdy inny byłby na jego miejscu już dawno sprzątnął Wernera ze świata, ale widać, że mu to specjalną przyjemność sprawia, utrzymywać go przy życiu. Już widzę, że on niema zamiaru wcześniej usunąć go ze świata, dokąd nie dostanie swoich dwudziestu tysięcy, jako krwawą nagrodę. Mnie nie pozostanie też nic innego do czynienia, jak wypłacić mu żądaną sumę. Fatalnie, bardzo fatalnie.

Widocznie żałował, że pomoc wspólnika tak drogo musi okupić.

— A jakby to było, gdybym Wernerowi sam truciznę podał? — mówił szeptem. — Ale obawiam się, że Alojzy gotów przeczuć mój zamiar i przeszkodzić temu, nie dając Wernerowi żadnej potrawy ani napoju, które bym sporządził. Mamy, niestety, za mało władzy nad tymi ludźmi.

Żaden z nich nie wypełnia ślepo rozrozkazów, które mu się poleca. Każdy pozwala sobie przy tym czynić różne przypuszczenia i robi wedle własnego widzimisię. Gdy już Alojzego nie będę potrzebował, to odpokutuje on mi za ten opór.

Baron wstał teraz i zadzwonił na służącego.

Ciąg dalszy nastąpi.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

4) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Bettino, jesteś doprawdy niezrównana. Jakie szczęście, że zostaniesz z nami. I jestem pewny, że dobrze nam będzie razem, zwłaszcza, że po wyjeździe Bernarda, dom nasz trochę opustoszeje.

Jakoż w najbliższych już dniach miało nastąpić to rozstanie.

Bernard zdał maturę z odznaczeniem, a ze względu na zmienione stosunki matki nie upierała się już, by wstąpić do fabryki. Posłał więc swe świadectwa Wendenburgowi i zapytał, czy może liczyć na jego przyrzeczenie. Otrzymał odpowiedź odwrotną w tonie niezwykle życzliwym. Właściciel hut zawiadamiał go, że sam po niedawnej śmierci żony wyjeżdża z córką i wychowanką na pewien czas w podróż, ale pozostawił zlecenie swemu pierwszemu dyrektorowi, by każdej chwili przyjął nowego praktykanta.

Pożegnanie z wujem i matką było nadzwyczaj serdeczne, a Bettina nie mogła się uspokoić po odjeździe syna. Maria przejęta do głębi jej rozpaczliwym łkaniem, podeszła, pragnąc ją pocieszyć. Ale Bettina, nie mogąc się dłużej hamować, odepchnęła ją gwałtownie, wybiegła do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

Maria doznała dziwnie przykrego uczucia; ogarnął ją lęk. Ale po chwili powiedziała sobie, że rozstanie z synem pozbawiło bratową równowagi. Nie czuła też do niej urazy za brutalne odepchnięcie. Natomiast w duszy Bettiny spotęgował się gniew i nienawiść do Marii, lecz ze względu na brata musiała udawać życzliwość.

W parę miesięcy później, w pewien pogodny dzień przedwiosenny, siedziały obydwie w jasnej jadalni, czekając na przyjście Herbiga. Maria była jakaś niespokojna i wzruszona i parokrotnie spojrzała ukradkiem na Bettinę, pragnąc jej widocznie powiedzieć coś ważnego. Wreszcie zdobyła się na odwagę.

— Kochana Bettino, mam do ciebie wielką prośbę.

Bratowa podniosła oczy od robótki.

— Cóż to takiego, Mario?

Młoda kobieta odetchnęła głęboko, po czym jednym tchem wyrzuciła:

— Muszę przygotować wyprawkę dla dziecka. Byłabym ci bardzo wdzięczna za pomoc i radę.

Zaniepokojona milczeniem Bettiny, spojrzała na nią i zobaczyła śmiertelnie bladą, jakby zmartwiałą twarz bratowej.

— Bettino, co ci się stało? — spytała, widząc, że tamta przymyka oczy, omdlała.

— Słabo... wody...

— Maria wybiegła po wodę, lecz niesamowity wyraz oczu Bettiny zdjął ją przerażeniem. Zdawało się jej, że nagle spojrzała w przepaść straszliwą. I nagle zrozumiała, że Bettina ją nienawidzi.

Przełknąwszy parę kropel wody, Bettina dźwignęła się i siłą woli przywołała na usta śmiech.

— Przepraszam cię Mario... Jestem w ostatnich czasach trochę zdenerwowana. Ta nagła radość przyszła tak niespodzianie... Rozumie się, że sama przygotuję wyprawkę. Nie potrzebujesz się kłopotać o to.

Gdy w chwilę później Herbig przyszedł na kolację, zastał obydwie w pozornie najlepszej komitywie. Ale Bettina tej nocy ani na chwilę nie zmrużyła oczu, szarpana dręczącemi myślami. Więc brat będzie jednak miał naturalnego spadkobiercę, a syn jej wyjdzie z próżnemi rękoma i ciężko będzie musiał walczyć, by zdobyć chleb codzienny. Gmach jej wspaniałych marzeń zapadł się w gruzy.

Od tej nocy Bettina stała się łupem dzikich myśli i pokus, którym nie potrafiła się oprzeć. I z każdym dniem wzrastała jej nienawiść do Marii, która miała urodzić bratu prawego dziedzica. Myśli jej ustawicznie krążyły jak zaklęte koło tego samego przedmiotu. Chwilami przyzywała ciemne moce, by ją obdarzyły siłą nadprzyrodzoną i pozwoliły unicestwić to dziecko, zanim jeszcze ujrzy światło dzienne.

* * *

Minęło lato i jesień, a koło świąt zimowych w domu Herbigów oczekiwano powiększenia rodziny. Z tego powodu Herbig napisał Bernardowi, by ze względu na tego spodziewanego nowego obywatela, tym razem spędził święta poza domem.

Bernard pisywał często do matki i wuja, a listy jego tchnęły największem zadowoleniem. O swym szefie Wendenburgu wyrażał się w słowach pełnych podziwu i zachwytu, jego jasnowłosa córeczka Gabi odrazu poznała swego „wybawcę" i ogromnie się do niego przywiązała. O właścicielce cudnych oczu o złotem lśnieniu raz tylko wspomniał pobieżnie: „Jest tu także wychowanka, którą Wendenburg kocha, jak własną córkę". Więcej o niej nie pisał, natomiast o Wendenburgu i małej Gabi opowiadał zawsze szczegółowo.

Na dwa dni przed wigilią Bożego Narodzenia urodził się Herbigowi syn. Bettina z największą pieczołowitością pielęgnowała Marię, dniem i nocą nie odstępując ani na chwilę matki i dziecka.

Fryc i Maria byli wzruszeni i prosili, by się nie przemęczała. Przerwała porywczo, niemal szorstko, twierdząc, że wcale nie czuje się zmęczoną. Była teraz przeważnie milcząca i zadumana. Całemi godzinami siedziała nieruchoma koło łóżka śpiącej rekonwalescentki, posępnie wpatrując się w drobną twarzyczkę noworodka.

Mimo próśb brata, nie zgodziła się, by nocami czuwała przy dziecku piastunka, lecz sama w niewygodnym fotelu spędziła przy nim noc po nocy. Jakby jakiś zły czar przykuwał ją do kołyski dziecka.

Herbig na wyraźne życzenie Marii sypiał teraz w pokoju Bernarda. Nie chciała, by płacz dziecka i krzątanina w sypialni przerywały mu sen. Tak więc Bettina sama czuwała nad Marią i dzieckiem, umieściwszy piastunkę w sąsiednim pokoju.

Herbig był jednak zbyt podniecony szczęściem i nieokreślonym jakimś niepokojem, by móc spać spokojnie. W szóstą noc po przyjściu na świat dziecka, żadną miarą nie mógł znaleźć snu. Nadsłuchiwał ustawicznie, gdyż wydawało mu się, że słyszy stłumiony płacz. To znów zdrzemnąwszy się, miał wrażenie, że Maria przyzywa go do siebie.

Mówił sobie wprawdzie, że to urojenie, niemniej trudno mu było opanować niepokój. Ubrał się szybko i w pantoflach, stąpając na palcach, wszedł do swego gabinetu. Wystarczyło odsunąć portierę sypialni, by rzucić okiem na żonę. Przyćmione abażurem światło nocnej lampy rozjaśniało duży, wygodnie urządzony pokój. Maria spała spokojnie. Już chciał zawrócić, lecz nagle uczuł pragnienie spojrzenia także na dziecko. Do tego musiał bardziej odchylić portierę i przechylić się nieco. Zaledwie to uczynił, wyprostował się błyskawicznie, z gardła jego wyrwał się zdławiony okrzyk. Jak nieprzytomny wpadł do sypialni.

W żelazne kleszcze swych rąk, nie mówiąc słowa, pochwycił ręce Bettiny, która z konwulsyjnie wykrzywioną twarzą stała pochylona nad kołyską dziecka i wielką poduszką przygniatała drobną główkę niemowlęcia. Na widok nieprzytomnej twarzy brata, rozpaczliwym gestem wyciągnęła przed siebie ramiona i osunęła się na kolana. Nie zemdlała, lecz znieruchomiała ze strachu wpatrywała się w przerażonego mężczyznę, który nieprawnemi

drżącemi palcami rozluźnił poduszeczkę dziecka, które z trudem chwytało oddech.

Wszystko to rozegrało się w milczeniu i w ciągu paru sekund. Maria wciąż jeszcze spała spokojnie, nie przeczuwając, że dziecko jej cudem uniknęło śmierci. Zsiniała twarzyczka odzyskiwała zwolna zwykły kolor, oddech stał się swobodniejszy, a boleśnie zaciśnięte usteczka rozwarły się w cichym kwileniu. Z nieopisaną radością Herbig przycisnął niemowlę do piersi. Następnie obrócił się do kobiety z wyrazem obłędnej trwogi, wciąż jeszcze klęczącej obok kołyski i milczącym gestem wskazał jej drzwi. Na kolanach powlokła się do jego stóp i błagalnym, modlitewnym gestem podniosła ręce. Cofnął się z obrzydzeniem i jeszcze raz wskazał jej drzwi. Wtedy dźwignęła się z trudem i wyszła.

Na korytarzu padła zemdlona.

Fryc Herbig otarł twarz, po której spływały ciężkie łzy. Namiętnie przyciskał do piersi niemowlę, które zaczęło płakać.

Na pierwszy dźwięk głosiku dziecka Maria otworzyła oczy i zdumiona spojrzała na męża.

— Ty tutaj? A gdzie Bettina? Proszę, daj mi małego.

Fryc podał jej dziecko, umyślnie odwróciwszy się od światła, by nie widziała jego twarzy.

— Bettina strasznie zmęczona, zmusiłem ją, by się położyła. Zaraz ci przyślę piastunkę, by czuwała nad dzieckiem.

— Och, ale ciebie zbudzono, mój ty biedaku — pieszczotliwie szeptała Maria, tuląc twarz do jego ręki.

— Nie trap się o mnie, kochanie. I zaśnij, proszę.

Pomimo prośby żony, by się położył, nie chciał wracać do łóżka. Maria, trzymając go za rękę, zasnęła rychło ponownie, a on zapatrzony przed siebie, nie mógł oderwać myśli od strasznych przeżyć tej nocy. Nigdy, nigdy nie zapomni tej chwili. Jego siostra morderczynią? Gdyby był wszedł o parę sekund później, byłoby już po wszystkiem.

W ciągu tej nocy przeżył najstraszniejsze tortury. Nad ranem dopiero dźwignął się z krzesła, cały zbolały i polecił piastunce, by siadła koło kołyski, gdyż pani Bettina zachorowała.

Następnie udał się do pokoju siostry...

Odzyskawszy przytomność po ciężkiem zemdleniu, Bettina pełna grozy i przerażenia, dowlokła się do swego pokoju i z jękiem padła na sofę.

Poco to uczyniła? Jaki szał nią zawładnął? Nie pojmowała siebie samej. Pamiętała, że wpatrywała się długo w twarzyczkę dziecka, pragnąc ze wszech sił, by umarło. A potem krwawa mgła przesłoniła jej oczy. Ręce bezwiednie pochwyciły poduszkę, w uszach jej szumiało i dzwoniło, a palce coraz silniej przyciskały poduszkę...

Dreszcz nią wstrząsnął, a na czole wystąpiły krople potu.

— Morderczyni! morderczyni! — krzyczało jej w duszy. Chciała się zerwać, wyskoczyć oknem z drugiego piętra, lecz strach przygważdżał ją do miejsca. Głowa jej płonęła jak ogień, a ciało przebiegały lodowate dreszcze. Tak leżała na pół zmartwiała, gdy do pokoju wszedł brat. W pokoju było ciemno. Zapalił światło elektryczne i w pełnej jasności stanął przed nią jak surowy sędzia.

— Wstań, chcę pomówić z tobą — rzekł zimno.

Dźwignęła się z trudem i padła mu do nóg.

— Wybacz, nie wiedziałam co robię.

Odsunął ją.

— Wstań i nie urządzaj scen. Klęcz przed Bogiem, by ci wybaczył. Ja nie mogę. Jeszcze dziś opuścisz mój dom — na zawsze. To chyba nie wymaga dalszych wyjaśnień. Nie chcę jednak, by ktokolwiek dowiedział się o tym, co stało się tej nocy. Już ze względu na Bernarda musi to pozostać tajemnicą.

Bettina zasłoniła twarz dłońmi, a z piersi jej wyrwał się jęk: Mój syn, mój syn!

W tym jej wykrzyku było tyle rozpaczy, że Herbig zachwiał się na chwilę w swym postanowieniu. Rychło jednak odzyskał równowagę i kamiennym tonem ciągnął:

— Bernard nie śmie się domyślać z jakiego powodu opuszczasz mój dom. Obmyśliłem już wszystko. Południowym pociągiem wyjedziesz do sanatorium w Dreźnie, celem zmocnienia twych rozprężonych nerwów. Wobec świata musisz przez jakiś czas uchodzić za poważnie chorą — pragnę też wierzyć, że jesteś nią istotnie. Co po tem będzie — nie wiem narazie. Tyle tylko wiem, że nigdy już nie wrócisz do tego domu, gdyż ustawicznie musiałbym drżeć o życie moich najbliższych. Później muszę znaleźć jakiś pozór tłumaczący tę zmianę.

— Och, gdybym mogła umrzeć! — jęknęła Bettina. — Gdybym mogła umrzeć!

— Domyślam się, że pociąga cię myśl o samobójstwie. Ale w ten sposób powiększyłabyś tylko swój występek. Rzuciłoby to cień na życie Bernarda. O tym ci zapomnieć nie wolno. Oto pieniądze na podróż i wszelkie wydatki. Rozumie się, że będę ci wypłacał stałą pensję. Ale wszelkie inne węzły zrywamy raz na zawsze.

Położył na stole kilka banknotów i skierował się ku drzwiom.

— Bracie... przebacz. Jestem winna... strasznie winna, ale nie wiedziałam co robię. Przysięgam, że byłam nieprzytomna... Padł na mnie jakiś obłęd... Wybacz, rzeknij bodaj jedno słowo na pożegnanie.

Odwrócił się, a twarz jego drgała konwulsyjnie od męki cierpienia.

— Nie mogę wybaczyć. Byłaś mi tak bliską, dla tego nie mogę zapomnieć, co uczyniłaś. Niech Bóg ci wybaczy i ześle ukojenie.

Szybko wybiegł z pokoju. Ze względu na służbę pomógł jej w dwie godziny później wsiąść do powozu, którym miała się udać na stację. Lekko dotknął jej ręki i Bettina odjechała. Żonie powiedział, że siostra musiała wyjechać do sanatorium, gdyż nerwy jej domagały się wypoczynku i leczenia. Maria z najgłębszem współczuciem wypytywała o bratową, czyniąc sobie wyrzuty, że nocne czuwanie nad nią i dzieckiem tak bardzo ją wyczerpało.

— Sama sobie winna! — ostro przerwał mąż. — Nie trap się niepotrzebnymi wyrzutami.

Zdumiona jego szorstkim tonem spojrzała mu w twarz i zobaczyła w niej wyraz gniewu i zaciętości, jakiego nigdy u niego nie zauważyła. Zastanawiała się też dlaczego Bettina nie pożegnała się z nią przed odjazdem. Była jednak dostatecznie mądra i taktowna, by nie badać męża w sprawie, o której nie życzył sobie mówić.

Nie zadała też żadnego pytania, gdy w parę tygodni później Bettina doniosła, że postanowiła wstąpić do klasztoru. Czuje pragnienie niesienia ulgi cierpiącym, a w sanatorium poznała kilka sióstr zakonnych, które wyjednały jej przyjęcie.

Fryc odpowiedział jej krótko: „Pochwalam Twój zamiar i życzę, by nowy ten zawód dał Ci możność naprawienia złego."

* *
*

Dziesięć lat minęło od tego czasu. W cudny ranek sierpniowy przed willą Herbiga zatrzymał się powóz, z którego wysiadł wysoki smukły mężczyzna. Ciemne jego oczy badawczo rozejrzały się po parku, a po twarzy przemknął radosny uśmiech. Odźwierna powiedziała mu, że pan jest w biurze, pani w swojej pracowni, a dzieci z guwernantką w ogrodzie. Młody człowiek wręczył jej walizkę i szybko ruszył ku altanie, skąd dochodziły go głosy dzieci. Śmiały, regularny profil i żywe duże oczy składały się na prawdziwie piękną twarz męską. Ukrył się za rozłożystym drzewem i krzyknął donośnie:

— Walterze! Heleniko! — Głosiki dzieci znikły raptownie. Dziesięcioletni Walter odważnie rzucił się ku drzewu, sześcioletnia dziewczynka ostrożnie dreptała za nim.

Oboje równocześnie wydali okrzyk radości:

— Bernard! Bernad!

Śmiejąc się podnosił jedno po drugiem w swych stalowych ramionach.

— A co, bębny, zrobiłem wam niespodziankę — prawda?

— Mamusiu, mamusiu! — rozległy się piskliwe głosiki dzieci.

Na piętrze otworzyło się okno i Maria wychyliła głowę.

— Bernardzie! — wykrzyknęła radośnie, zobaczywszy roześmianą twarz młodego człowieka. Za pół minuty stała już obok gościa na gracowanej ścieżce ogrodowej.

— Witaj, kochany! Jakże się cieszę! — mówiła rozpromieniona. — Walterze, biegnij szybko do tatusia i powiedz mu, że Bernard przyjechał.

Chłopczyk pomknął jak strzała.

— Cicciu Mario, ciebie nie trzeba pytać, jak się czujesz. Wyglądasz kwitnąco, jak zawsze.

— Podobnie jak ty — odparła ze śmiechem. — Ale wejdźmy do domu. Jesteś z pewnością zmęczony i głodny po podróży.

— Głodny tak, ale nie zmęczony.

W chwilę później siedzieli w trójkę przy śniadaniu. Herbig, lekko już szpakowaty i wykazujący pewną skłonność do tuszy, podsuwał siostrzeńcowi papierosy.

— Obsłuż się, drogi chłopcze, i opowiedz, jak ci się powodziło w ostatnich czasach.

— Doskonale. Miałem szczęście. Ot, dzięki paru dobrym pomysłom, wprowadziłem pewne ulepszenia w konstrukcji maszyn. Wendenburg przykłada do nich wielką wagę i wogóle jest ze mnie zadowolony. Dzięki temu jestem od wczoraj nadinżynierem z pensją, o jakiej nie byłbym marzył w najśmielszych nawet rojeniach.

— Jakże się cieszę, mój drogi. Jak ogromnie się cieszę! — wykrzyknął Herbig, ściskając mu ręce.

— Dopuść-że i mnie do słowa — przerwała Maria. — Ja również mam pewne prawa do Bernarda — czy nie? Otóż serdecznie winszuję powodzenia i życzę, byś rychło znalazł dobrą kochającą żonę. Na takiem stanowisku możesz sobie już pozwolić na ożenek.

— Dzięki Bogu — teraz mogę już sobie pozwolić na to — odrzekł Bernard, a oczy jego rozbłysły.

— Chłopcze, mina twoja zdradza, że masz już coś upatrzonego. Gdaj że, niegodziwcze. Jesteś zakochany — nieprawdaż? — zaśmiał się Herbig.

— Tak, zakochany jestem powyżej uszu, ale na zwierzenia musicie jeszcze poczekać.

Oczy Marii rozbłysły.

— Dawno już trwa ta miłość?

— Od szeregu lat, cioci Mario. Na razie musisz jednak poskromić swą ciekawość.

Gdy mężczyźni zostali sami, Herbig spytał:

— Jak długo zostaniesz u nas?

— Tylko do jutra, ale w przyszłym miesiącu przyjadę do was na cały tydzień. Dziś wstąpiłem tylko w przejeździe. Jeden z dyrektorów zachorował, a Wendenberg polecił mnie załatwić pewną sprawę w Dreźnie. Skorzystałem z tego i wpadłem na godzinkę do matki, by ją osobiście zawiadomić o mojej nominacji.

Na wspomnienie Bettiny cień przemknął po twarzy Herbiga.

— Jakże się jej powodzi? — spytał poważnie.

— Twierdzi, że dobrze, ale ja jakoś nie mogę uwierzyć jej zapewnieniom. Wogóle nie potrafiłem nigdy zrozumieć, co mamę skłoniło do tego życia klasztornego. Była przecież zawsze damą światową, wesołą i żądną życia. I nagle ten zawód pielęgniarski. A jak się postarzała straszliwie w ciągu tych paru lat! Siwiuteńka jak gołąbek, a w oczach ma wyraz tak głębokiego cierpienia, że serce mi się kraje, gdy o niej myślę. Mam wrażenie, że trawi ją jakaś troska tajemna. Wuju, czy nie mógłbyś mi wyjaśnić co to znaczy?

Herbig w zadumie wpatrywał się w kółka dymu ulatujące z papierosa.

— Nie mogę ci powiedzieć nic innego, ponad to co ci powiedziałem przed laty. Matka twoja kochała cię bezgranicznie. Po twoim wyjeździe cierpiała na melancholię i rozstrój nerwowy. A podczas pobytu w sanatorium postanowiła zostać siostrą-pielęgniarką, by sobie jakoś wypełnić życie.

— To mógłbym ostatecznie zrozumieć. Ale skąd ciągły ten smutek i zgnębienie? Inne siostry, które u niej poznałem, są przecież takie pogodne.

Nastała chwilowa pauza.

— Ty rzadko widujesz mamę? — podjął znów Bernard.

— Rzadko — potwierdził Herbig. — Trudno mi się wyrwać z fabryki. Ani żonie, ani siostrzeńcowi nie powiedział, że nie widział siostry od czasu jego wyjazdu.

— Wuju, czy przy dobrej woli istotnie nie mógłbyś się wyrwać teraz? Stan mamy mocno mnie niepokoi. Wiem, że zawsze miałaś na nią wielki wpływ. Czy nie zechciałbyś go użyć teraz i skłonić ją, by się trochę szanowała?

Herbig w zadumie patrzył przez okno. W tejże chwili mały Walter przemknął w podskokach po ścieżce ogrodowej: okaz radości i zdrowia. Twarz ojca rozświetlił wyraz szczęścia. Odetchnął głęboko i spokojnie zwrócił się do siostrzeńca.

— Dobrze — spróbuję się z nią rozmówić. W pierwszej wolnej chwili pojadę do niej. Może mi się uda to, co nie udało się tobie. Czy jesteś już zadowolony?

— Tak, bo cokolwiek ty ujmiesz w swe ręce uda się z pewnością.

— Zobaczymy, mój drogi.

* * *

Radca komercjalny Horst Wendenburg był mimo czterdziestu ośmiu lat wciąż jeszcze bardzo przystojnym człowiekiem. Wytworna smukła postać i lekki chód nadawały mu wygląd znacznie młodszy. Niesłychanie energiczny i pomysłowy osobiście kierował swym olbrzymim przedsiębiorstwem, dobierając sobie zdolnych pomocników. Od paru lat największymi jego względami cieszył się Bernard Gerold. A młody człowiek skromnem swym obejściem, idącym jednak w parze z poczuciem swych zdolności, umiał zachować te względy szefa.

Trzy tygodnie minęło od bytności Bernarda u wujostwa. Pewnego wieczora po orzeźwiającym deszczu letnim, świeżo mianowany nadinżynier zastępujący też chwilowo jednego z chorych dyrektorów, w towarzystwie Wendenburga zmierzał laskiem ku jego willi, po zmarłej żonie nazwanej „willa Anna".

Z rozkoszą wchłaniali odświeżone po deszczu powietrze i omawiali rozmaite sprawy, związane z przedsiębiorstwem. Nagle Wendenburg skierował rozmowę na tory osobiste, pytając:

— Mówił pan, że matka niezbyt dobrze się czuje?

— Tak, panie radco. Wygląda bardzo źle. Dlatego prosiłem wuja, by ją skłonił do wypoczynku i jakiej kuracji. Dziś właśnie otrzymałem list od niego, że z początkiem przyszłego tygodnia wybierze się do niej.

— W takim razie będzie w najbliższym naszym sąsiedztwie. Musimy skorzystać z tak szczęśliwej okazji i zaprosimy go do nas, bodaj na parę godzin. Tak bardzo pragnę poznać pańskiego wuja. Proszę, niech go pan zaprosi na serdeczniej.

Tak rozmawiając zbliżali się do willi i już z pewnej odległości zobaczyli dwie młode panienki, siedzące na tarasie. Spostrzegł nadchodzących i oto dwie pary ślicznych oczu przywitały ich radosnymi spojrzeniami.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

17)

Niebezpieczny Gość

Powieść

Rozdział XI.

TAJEMNICA NOCY

Zbliżała się północ.

Mrok. Niebo było pokryte chmurkami. Księżyc nie świecił. Jedynie od czasu do czasu wychylał swą pełną, uśmiechniętą twarz, aby znowu schować się za obłoki.

Lekkuchny wietrzyk poruszał swawolnie listkami splątanych gałęzi. Poza tem żadnego ruchu, w pobliżu żadnej żywej istoty.

Nocka. —

Cisza...

Naraz jednak tę nocną ciszę zamąciły jakieś szmery. I... co to? Obok willi „Aurory" coś się nagle poruszyło. Z za muru wysunął się ostrożnie cień jakiś. Duch? Nie, bo słychać było doskonale odgłosy jego kroków. To żywy człowiek — mężczyzna...

Rozejrzał się niespokojnie dookoła i ostrożnie ruszył przed siebie. W pewnym momencie drgnął i przystanął. W następnej chwili przylgnął do muru, nadsłuchując. Wokół panował jednak niczem nie zamącony spokój.

— Przesłyszałem się — mruknął, ruszając dalej. — Wyobraźnia... Nerwy, psia krew! — zaklął półgłosem.

W milczeniu zatoczył duże półkole i po chwili wylądował już z drugiej strony willi „Aurory". Tu przystanął za krzakiem jaśminu i znowu począł nadsłuchiwać.

Czyżby wszyscy mieszkańcy spoczywali już pod opiekuńczemi skrzydłami bożka Morfeusza?

Ukryty za krzakiem jaśminu mężczyzna mógłby sądzić, że nie myli się, gdyby odpowiedział twierdząco na zadane sobie pytanie. W całej willi bowiem zapanowała głęboka cisza; wszędzie pogardzono już światła. Ale on tak nie sądził. Ogarnął oczyma cały budynek, aż zatrzymał wzrok w jednym miejscu.

— W bibliotece! — wydarł się naraz cichy szept z jego ust. W szepcie tym brzmiała jakby nuta niepokoju, a równocześnie i szalonej radości.

Dojrzał bowiem, że z jednego z przesłoniętych zielenią okien willi wypływa słaba smuga światła. Widocznie poza tem oknem ktoś jeszcze czuwał. Była tam rzeczywiście biblioteka i nieznajomy musiał bardzo dobrze znać plan willi „Aurory", kiedy wiedział o tem tak dokładnie.

Wysunął się z za krzewu. Po chwili stanął nawprost okna i znowu znieruchomiał. Nerwowe drgania jego zaciśniętych pięści zdradzały, że jest w stanie silnego wzruszenia i podniecenia.

— Kwestia tylko kto tam jest: ona, czy też kto inny? — mruknął, zapatrzony w oświetlone szyby. — Trzeba się przekonać...

Podszedł do okna. Światło padło na jego twarz i skoncentrowało się na jasnym, dużym kapeluszu, nasuniętym głęboko na oczy.

Wspiął się na palcach i przez szyby spojrzał w głąb pokoju.

Duża naftowa lampa oświetlała bibliotekę. Był to pokój średniej wielkości, którego umeblowanie stanowiło kilka porozwieszanych na ścianach obrazów, wielka szafa dębowa, półki z książkami, oraz biurko, przy którym siedziała zaczytana postać niewieścia.

Czatujący pod oknem mężczyzna wstrzymał oddech. Wpatrzył się w siedzącą przy biurku kobietę, a twarz jego poczęła drgać, jakby pod wrażeniem dotkliwego bólu...

— Tak, to ona — szeptał do siebie dziwnie wzburzony. — Sama tylko. Wszyscy już śpią... A ona sama tylko. Sama... — Przylgnął twarzą do szyby. — Jaka ona piękna! Kocham ją. Kocham szalenie i... nienawidzę! Tak nienawidzę. Dlatego, że ją kocham, muszę ją nienawidzieć... Dumna! Odtrąciła mnie... Za to właśnie ją nienawidzę. Za to poprzysiągłem jej zemstę... Tak, zemstę... I przysięgi dotrzymam. Nie cofnę się. O, nie! Drżyj więc dumna panno Krańsko. Bowiem godzina mej zemsty się zbliża...

Przylgnięty twarzą do szyby patrzył, patrzył... jakby chciał zahypnotyzować siedzącą przy biurku postać i szeptał dalej jakieś słowa bezładne, gorączkowe. Z drżących nerwowo ust płynęły ciche słowa jakiejś skargi, to znowu złorzeczenia i klątwy. Wreszcie odsunął się trochę od okna i nawpół przytomnie spoglądał po obłokach. Skurczył się jakby pod wrażeniem niemiłej dlań myśli, lecz zaraz potem wyprostował swą muskularną postać.

— Nerwy, psia krew! — syknął. — A tu czas najwyższy działać.

Podniósł w górę zaciśniętą pięść. W ślad za za tem brzęk stłuczonej szyby zamącił ciszę nocy...

— — — — — — — —

Zegar dawno już wybił godzinę jedenastą, a panna Krańska nie spała jeszcze. Janka siedziała w bibliotece. Była sama. Wsparta łokciem o blat biurka, zatopiona była w lekturze. Czytała najnowszą powieść jednego ze znanych francuskich autorów. Treść tej powieści była bardzo zajmująca. Bohaterka powieści, córka właściciela majątku ziemskiego i bogatych winnic, piękna Renata poznaje przypadkiem biednego, lecz wysoce uczciwego praktykanta agronomicznego. Wysmukły Gaston uwielbia skrycie Renatę. Kocha ją pierwszą, gorącą, młodzieńczą miłością. Ambicja nie pozwala mu jednak zbliżyć się do dziewczyny, a tem więcej wyznać jej swą miłość. Wie, co dzieli go od ukochanej. Ona jedynaczka i dziedziczka majątku i winnic, a on co?... Biedny praktykant agronomiczny. Nic to, że nosi starożytne nazwisko zubożałej ostatnio, lecz szanowanej powszechnie rodziny, której przodkowie dobrze zasłużyli się ojczyźnie. Nic to, że jest uczciwy, wykształcony... Teraźniejszy świat jest inny. Współcześni ludzie, to przede wszystkim materialiści. Dla nich pieniądz znaczy wiele, więcej niż zalety duchowe. I gdyby poznano tajemnicę jego serca, wnet krzyknęliby wszyscy, że chodzi mu o majątek Renaty. A on nie chce nic. Kocha Renatę nie dla jej majątku. Gdyby była biedną, kochałby ją nawet więcej jeszcze, gdyby to było możliwe. Miałby wówczas nadzieję, że pozyskałby jej serce, gdy tak...? — Gaston cierpi skrycie.

Piękna Renata zauważa dziwne zachowanie się przystojnego młodzieńca. Jej bacznej uwadze nie uszedł zachwyt, malujący się w oczach Gastona, kiedy te spoczywały na jej osobie. Zaintrygowana raz nawiązuje z nim rozmowę. Jest zdumiona i uradowana. Przekonuje się bowiem, że Gaston, aczkolwiek bardzo skromny i nieśmiały, jest młodzieńcem inteligentnym i wykształconym. Zna doskonale kilka obcych języków! Zadowolona podaje mu na pożegnanie rękę, którą młodzian ze czcią całuje.

Od tego dnia Gaston unika spotkania z ukochaną przez siebie dziewczyną, nie chcąc zdradzić się ze swych uczuć. Z ukrycia tylko ją obserwuje. Czuje się bardzo nieszczęśliwy. — Renatę dziwi i trochę gniewa ta nagła zmiana...

Aż pewnego pięknego wieczoru, kiedy Gaston siedzi zadumany w czarownym zakątku nad strumykiem, zjawia się tam „przypadkowo" Renata. Młodzieniec, zaskoczony nagłym spotkaniem, miesza się i chce odejść. Dziewczyna zatrzymuje go jednak. Bawi ją zakłopotanie przystojnego młodzieńca. Mówi mu, że jego właśnie szuka i pyta dlaczego on jej unika. Gaston jąka się zmieszany, a kiedy dziewczyna stanowczo żąda jasnej odpowiedzi, zachęcony jej szczerem spotkaniem, klęka przed nią na kolano i wyznaje swą miłość. Z rozpaczą nieomal oczekuje jej wyroku... oczekuje gniewnego wybu-

chu pięknego dziewczęcia. Tymczasem zamiast tego, Renata nachyla się nad nim i całuje go w usta...

Janka Krańska czyta nieomal jednym tchem. Zdaje się jej, że ona jest bohaterką powieści. Wczuwa się w rolę pięknej Renaty i razem z tamtą przeżywa upojną chwilę miłości. I tak, jak tamta, Janka szepce tkliwie:

— Kocham cię (Zdzich). Kocham jedynie ciebie... najdroższy.

Wyobraźnia Janki pracuje gorączkowo. Dziewczyna czyta z zapartym oddechem. Ze zgrozą śledzi przebieg dramatycznej sceny, jaką z kolei barwnie przedstawił autor powieści: Bo oto, kiedy w niebowzięty Gaston tuli w swych objęciach piękną Renatę i w najwyższym uniesieniu całuje jej usta... nagle zjawia się ktoś trzeci. Dumny Ryszard Pontac, młody sąsiad ojca Renaty i pretendent do ręki jego córki, był wcale nieprzypadkowym świadkiem spotkania młodej pary. Szyderczym śmiechem płoszy zakochanych i w bezczelny sposób obraża Gastona. Ten w szlachetnem oburzeniu, nie panując już nad sobą, wymierza pyszałkowi policzek. Ryszard Pontac zsiniał. Naraz zaniósł się szyderczym, okropnym śmiechem. W ręku błysnął mu browning. Rękę miał pewną. Zanim oszołomiona i oburzona Renata zdążyła krzyknąć, Ryszard Pontac zmierzył do Gastona i nacisnął cyngiel. Rozległ się huk...

Janka drgnęła i uniosła głowę z nad książki. Wydawało się jej bowiem, że słyszała rzeczywiście huk strzału. Byłażby tak przejęta opisaną w powieści sceną, że...? Ależ nie! Ona najwyraźniej słyszała jakiś huk, jakby brzęk rzuconego o ziemię szkła, który w ciszy nocnej wyolbrzymiał do odgłosu strzału. Ot i teraz jakiś szelest dobiega najwyraźniej jej uszu... Szelest ten dochodzi od strony okna.

Nagle lęk wkradł się do serca dziewczyny. Dopiero teraz uświadamia sobie, że jest już chyba północ. A ona była sama tylko w położonej w końcu willi, bibliotece. Lepiej zabierze książkę i pójdzie już do swej sypialni. Tam dokończy czytania.

Niespokojnie odwraca głowę i chce powstać, gdy naraz znieruchomiała. Ogromne przerażenie odmalowało się na jej pobladłej twarzy.

Światło dużej naftowej lampy rozjaśniało przestrzenie pokoju. W świetle tym Janka zdążyła zobaczyć otwierające się z łoskotem okno, a potem... Och, wielki Boże! Potem w oknie ukazała się jakaś postać.

— Bandyta... złodziej! — niby błyskawica przemknęła myśl w głowie dziewczyny.

Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie mogła nawet się ruszyć. Ogromne przerażenie sparaliżowało jej członki i mowę. Szeroko otwartemi oczyma wpatrywała się w nocnego gościa, który zdążył już wskoczyć do pokoju.

Był to jeszcze młody mężczyzna o silnej budowie ciała. Ubrany był dostatnio. Na głowie miał duży, nasunięty na oczy, kapelusz, niepozwalający rozeznać twarzy, której jedynie widoczna dolna część, była starannie wygolona.

Jednym błyskawicznym spojrzeniem objął cały pokój, jakby chcąc upewnić się, co i kto w nim się znajduje, potem podskoczył do drzwi i przeprchnął zasuwkę w zamku. Widocznie działał z dobrze obmyślanym planem, zabezpieczając się w ten sposób przed niespodziewanem nadejściem kogoś dlań niepożądanego.

Teraz dopiero zwrócił się do skamieniałej z wrażenia, zalęknionej panny Krańskiej.

— Dobry wieczór panno Janino — odezwał się przytłumionym i jakby szyderczym głosem, nie zdejmując z głowy kapelusza. — Piękna pani się przeraziła? Ach, prawda. Nie zapowiedziałem swej wizyty... Przepraszam, najmocniej przepraszam, że wbrew dobrze wychowanym ludziom, do których oczywiście i siębie zaliczam, wszedłem nie drzwiami, lecz oknem i bez zameldowania. Trudno jednak. Nie mogłem inaczej i musiałem przyjść tu... do pani.

Musiał przyjść do... niej! Tyle zrozumiała. Więc nie bandyta, ani złodziej. Zatem kto on jest? Czego chce?...

Janka odetchnęła. Pierwszy paroksyzm strachu, który ją ubezwładnił, już minął. Należałoby coś przedsięwziąć... Uciec! Ale jak? Drogę do drzwi zagrodził jej swoją osobą... Myśli dziewczyny pracują gorączkowo. — Nie bać się, tylko nie bać się! — Była przecież u siebie w domu, zamieszkałym przez życzliwe jej osoby i w ostateczności potrzebowałaby tylko krzyknąć o pomoc...

Zerwała się z krzesła i postąpiła krok naprzód. Spojrzawszy jednak na przybysza, cofnęła się instynktownie. Człowiek ten nie musiał mieć względem niej dobrych zamiarów. Poznała to, a raczej wyczuła intuicyjnie. Stał w cieniu, ale widziała, że usta miał zaciśnięte, a oczy... och, oczy błyszczały mu tak dziwnie. Migotały zadowoleniem i zuchwale przesuwały się po jej osobie. Znowu opanował ją lęk, a nogi poczęły drżeć febrycznie.

— Boi się mnie panienka? — rzekł przybysz zduszonym, raczej do szeptu podobnym, głosem. — Nie ma czego. Nie jestem żadnym bandytą. Spojrzała pani na okno? Prawda, poprostu włamałem się tutaj, ale nie miałem innej drogi, aby o tej godzinie dostać się do biblioteki. Wiem, że wchodzę w kolizję z prawem — dodał — ale nie dbam o to. Musiałem widzieć się z panią. Muszę bowiem pani parę słów powiedzieć. Sądzę, że panna Janinka mnie zrozumie i będzie rozsądna...

Janka nie słucha. Z obawą wpatruje się w osobliwego gościa. Zdaje się, że nie jest jej zupełnie obcy. Twarzy nie może rozpoznać, gdyż przeszkadza kapelusz, zapewne umyślnie nasunięty na oczy, ale zna tę sylwetkę. Gdzieś go musiała widzieć. I ten głos... także zna. Ale co on mówił? Ma być rozsądną... Dobrze, będzie rozsądną.

Ogromnym wysiłkiem woli stara się opanować wzruszenie. Zaciska szczękające zęby. Wie, że musi coś przedsięwziąć. Zdaje sobie sprawę, że nie powinna okazywać lęku, a przeciwnie; jedynie spokojem i zdecydowaną postawą może odstraszyć zuchwałego osobnika. Marszczy więc brwi i postępuje krok naprzód.

— Kto pan jest? — wyrzuciła przytłumionym drżącym głosem. — Czego pan chce?...

Przeszył ją ostrym wejrzeniem.

— Nie domyślasz się dumna dziewczyno?

Janka zadrżała. Ten głos wydaje jej się znany. Ależ tak. Zna go dobrze. Słyszała go często. Kieruje na przybysza szeroko otwarte z przerażenia i zdziwienia oczy. Czy to możliwe? Miałżeby to być...?

Osobnik zauważył wahanie dziewczyny. Podchodzi do światła i zdejmuje z głowy kapelusz.

— Tak, to ja! — wyrzekł z naciskiem. — Poznajesz mnie teraz, panno Krańsko?

Dziewczyna cofa się więcej zdumiona, niż przerażona.

— Pan?... O, Boże! Pan tutaj w nocy... jak bandyta... Czego pan chce jeszcze ode mnie?

— Chcę ciebie.

— Jak pan mógł... jak pan śmie...

— Kocham cię.

Janka prostuje się dumnie. Rumieniec oburzenia oblewa jej twarzyczkę. Wytrzymała palący wzrok mężczyzny.

— Zna pan moją odpowiedź — rzekła zimno. — Mimo wszystko zawsze czułam litość dla pana. Od dzisiaj jednak pogardzam panem! — Zmarszczyła groźnie brwi. — Niech pan wyjdzie stąd! Jak pan śmiał tu wejść? Nieszczęsny! Czy wiesz, szalony człowieku, że mogę oskarżyć cię o nocne włamanie i poniekąd o napaść? Czy wiesz, co grozi za... bandytyzm?... Proszę wynieść się stąd natychmiast! Proszę natychmiast opuścić ten pokój, w przeciwnym bowiem razie zawołam ojca...

Postąpił krok w jej stronę. Starannie wygoloną twarz wykrzywił dziwny grymas. W płonących go-

rączkowo oczach czaiło się naprzemian podziw, złość, pożądanie.

— Nie uczynisz tego dziewczyno — wykrztusił z groźbą w głosie. — W przeciwnym razie stanie się nieszczęście. Odważyłem się na włamanie, to mogę odważyć się na coś gorszego. Jestem zdenerwowany. A w takim stanie nie odpowiadam za siebie. Jeśli więc chcesz, aby stało się jakie nieszczęście, to wołaj ojca, wołaj ludzi, wołaj przede wszystkiem tego przybłędę, tego poznańskiego lalusia — Donieckiego.

— To mój narzeczony.

— Wiem. Wszystko wiem. Mów! Kochasz go?

— Nie potrzebuję tłumaczyć się ze swych uczuć. Zresztą, wiedz pan, kocham go, bardzo kocham mego przyszłego męża.

— On twoim mężem? — wybuchnął. — Ten przybłęda? Nigdy! Ja nie dopuszczę do tego. Będziesz moją, albo niczyją... Tak postanowiłem dawno. Dlatego żądam, abyś zerwała z Donieckim. Żądam tego — rozumiesz?! Co tak patrzysz na mnie? Zlękłaś się teraz? Ha!... ha!... ha!... Panienka dostała strachu.

Janka nagle zbladła. Cofnęła się za krzesło. Osobnik śmiał się szyderczym śmiechem, który zrobił na dziewczynie piorunujące wrażenie. Śmiech taki znała bowiem dobrze. Takim śmiechem przerwano jej i Zdzisławowi niebiańską chwilę w ogrodzie, taki sam szyderczy, okropny śmiech słyszała dzisiaj w lasku w powrotnej drodze z letniska. Zrozumiała teraz wszystko. Przed nią stał niebezpieczny autor oszczerczych anonimów — tajemniczy „Gość"!

— Tak, to ja! — mówił dalej wzburzony. — Ja napisałem list z napisem „Gość". Bowiem już od dłuższego czasu gościem jestem w tejże wiosce. Znam dużo tutejszych ludzi. Znam Donieckiego. Widywałem go... widywałem was codziennie. Rozmawiałem z wami, śledziłem niemal każdy wasz krok... Słuchaj! Ty nie możesz zostać żoną tego przybłędy. Nienawidzę tego Donieckiego! Ciebie też nienawidzę... Kocham cię i równocześnie nienawidzę. Nienawidzę i kocham...

Objął wzrokiem wysmukłą postać dziewczyny, jej pełne, dziewicze kształty, widoczne pod obcisłą sukienką. W oczach błysnął mu charakterystyczny płomień...

Janka cofa się aż za biurko. Widzi pałające, pożądliwe spojrzenie mężczyzny i drży wewnętrznie. Wyczuwa grożące jej niebezpieczeństwo. Znowu ogarnia ją szalony lęk.

Osobnik przysunął się do drżącej dziewczyny.

— Kocham cię — szeptał zdławionym, dyszącym namiętnością, głosem, chwytając Jankę za ręce. — Kocham cię Janeczko. Patrz, dla ciebie oszalałem. Dla ciebie poświęciłem wszystko, całą swoją przyszłość... Porzuciłem dom, posadę, poświęciłem swój honor — wszystko dla ciebie... Ty nie możesz mnie odepchnąć... Kocham cię aż do szaleństwa. Nie dam cię nikomu. Będziesz tylko moją... Musisz być moją...

Mówił coraz gwałtowniej.

Dziewczyna z rozpaczą starała się uwolnić z jego uścisków. Szarpnęła się raz i drugi.

— Puść! — wykrztusiła przerażona. — Jak śmiesz... Odejdź! Nie dotykaj mnie ban-dy-to! O Boże! Ratunku! Ojcze! Zdzichu! Ratunku!!!

Napastnik błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni chusteczkę i zatkał nią usta krzyczącej. Janka zdołała jednak wyrwać chusteczkę, która upadła na podłogę. Napastnik nie zwrócił na to uwagi. Objął dziewczynę silnemi ramionami i przycisnął do ściany, szukając dyszącemi ustami jej ust.

— Nie puszczę — bełkotał. — Nie dam cię... nie dam nikomu... Tyś moja... moja...

Wpił się głodnymi wargami w usta dziewczyny, z szaloną namiętnością ściskając ją w swych objęciach.

Dziewczyna szarpnęła się rozpaczliwie, ale cóż znaczą jej wątłe siły wobec sił napastnika? Tłoczy ją ciężar jego ciała, dyszące namiętnością wargi chciwie wpijają się w jej usta, tamując oddech. Dusi się w tym uścisku. Ogarnia ją dziwne odrętwienie. Czuje, że słabnie. Jeszcze chwila, jeszcze moment, a wtedy... wtedy... Och, raczej śmierć!

Pod wpływem okropnej myśli wytęża wszystkie siły. Odpycha mężczyznę. W szamotaniu ręka jej natrafia na, stojący na biurku, jakiś twardy przedmiot. Ujmuje go, ściska i ostatnim wysiłkiem wali w głowę napastnika. — Puścił ją i odskoczył.

Chwila denerwującej ciszy.

Oparta o ścianę stoi blada, drżąca na całem ciele. Dyszy ciężko. W ręku dzierży małą figurkę z bronzu, przedstawiającą Anioła Stróża. Przerażonymi oczyma nawpół przytomnie wpatruje się w trzymającego się za głowę napastnika, którego twarz wykrzywił zwierzęcy grymas.

— Więc tak? — syknął ze złością. — Panienka też umie atakować... Ale poczekaj! I takim umiem dać radę.

Janka oprzytomniała.

— Ojcze! — krzyknęła, a głos jej spotęgowany szaloną trwogą i rozpaczą, rozszedł się grzmotem wśród nocnej ciszy. — Ojcze... Zdzichu!... Ratujcie! Zdzichu!... Zdzichu!...

Przyskoczył do niej z zaciśniętą pięścią.

— Milcz! — warknął cicho zdławionym głosem. — Nie waż się krzyczeć! Na nic to się zda. Nie oddam cię nikomu... Nikomu! Ani temu przybłędzie. Raczej zabiję ciebie i siebie. Zabiję!... Ha... ha... ha! Patrz!

W ręku trzymał lśniący rewolwer.

Janka skamieniała. Na moment jednak tylko. Trwoga dodała jej sił. Ujrzawszy broń w ręku napastnika, z krzykiem rzuciła się do drzwi, wywracając stojące na jej drodze krzesło.

Zanim jednak zdążyła odeprzeć zasuwkę w zamku i otworzyć drzwi, okropny huk wstrząsnął ścianami pokoju.

— Jezu!...

Dziewczyna rozpaczliwie zatrzepotała rękami, zrobiła krok wstecz, zachwiała się, potem chwyciła się za pierś i z cichym jękiem osunęła się na podłogę.

— Ojcze ratuj... Zdzichu...

Okropny ból wstrząsnął jej ciałem. Uczyniła ruch, jakby chciała odepchnąć kogoś od siebie. Potem zdawało się jej, że leci w bezdenną przepaść i — straciła świadomość...

Obok biurka stoi zdrętwiały osobnik. W zaciśniętej kurczowo dłoni trzyma dymiący jeszcze rewolwer. W jego nawpół przytomnych, jakby obłąkanych oczach, widnieje przerażenie.

— Zabiłem ją — wyszeptał zbielałemi ustami. — Ha! Zemściłem się... chociaż stałem się mordercą!

Dźwięk ostatniego słowa oprzytomnił go. Błyskawicznie rozejrzał się dookoła i naraz w szalonym pospiechu rzucił się do okna. W paru sekundach zniknął w mrokach nocy.

— — — — — — — —

Cisza...

Zawieszony nad biurkiem zegar wzdycha swoje monotonne: tik - tak... tik - tak! Lampa rzuca promienie światła w przestrzenie pokoju. Na półkach dużej szafy stoją poukładane, oprawne książki; jedna z nich leży otwarta na biurku. Między biurkiem a ścianą na podłodze leży mała batystowa chusteczka, opodal zaś porzucony w pospiechu męski kapelusz; kawałek dalej — przewrócone krzesło — pole walki... —

Gdzieś na piętrze rozlegają się naraz jakieś hałasy, przesuwania krzeseł, słychać potem oddalone kroki i urywane słowa rozmowy. Po kilku minutach ucisza się wszystko. —

Ciąg dalszy nastąpi.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 31. stycznia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa Po nabożeństwie: Kolędy (koncert) 11.15 Koncert rozrywkowy 12.03 Poranek muzyczny 14.15 „Piosenki średzkiej ziemi" 14.30 Ryszard Tauber i orkiestra Barnabasa Geczy 15.10 Koncert Warszawskiego Miejskiego Koła Śpiewaczego 15.30 „Audycja dla wsi" 16.20 Premiera komedii pt. „Strzał na pokładzie" 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 19.00 „Listy do laureatów i od laureatów" 19.20 Koncert solistów 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Recital śpiewaczy Mariny Karkins 22.00 Melodie z filmów dźwiękowych 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 1 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry wojskowej 12.50 „Błędy w odżywianiu niemowlęcia" — pogadanka 15.15 Fragmenty oper Giuseppe Verdiego (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" 16.30 Chór Wiehlera 17.00 „Co Polska wniosła do kultury" 17.15 Koncert solistów 17.50 „Suchy lód" — pogadanka 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Muzyka lekka 20.15 „Mazurki fortepianowe" 21.00 „Nieboska komedia" — cz. I-sza 21.30 „Od dworu do dworu — jedziemy kuligiem" 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 2 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10.40 „Od Jana Straussa do Lehara" — muzyka operetkowa 12.03 Poranek muzyczny 14.30 Ludowe pieśni ziemi złotowskiej 14.50 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 15.30 „Hopla tyjater" — słuchowisko obyczajowe dla wsi 16.15 Ryszard Strauss: „Kawaler srebrnej róży" 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść 17.15 „Dla naszych Maryś" — do tańca gra Mała Orkiestra 18.30 Wesoły monolog 18.40 Utwory fortepianowe 19.25 Muzyka lekka 21.00 Koncert wieczorny 22.15 „Pisz tu listy" — skecz 22.30 Muzyka taneczna (płyty)

Środa, dnia 3 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Kamil Saint-Saens — koncert popularny 12.50 „Tłuszcze roślinne w gospodarstwie domowym" — — pogadanka 15.15 Trio Polskiego Radia 16.10 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci 16.30 G. Osow. Kwintet instrumentów dętych op. 81 17.05 „Czego żołnierz wymaga od społeczeństwa" — odczyt 17.20 Koncert Orkiestry Straży Więziennej 18.50 „Szczęście czy morgi" — gawęda 19.00 „Z rzeczy drobnych i wesołych" — humoreski 19.20 Ryszard Strauss: „Kawaler srebrnej róży" — fragmenty aktu II i III (płyty) 21.00 „Opowieści o Chopinie" — wieczór 9 — „Chopin i Georges Sand" 21.40 Recital skrzypcowy Orlando Barera 22.10 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 4 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół średnich 12.03 Koncert ork. Teodora Rydera 15.15 Laureaci konkursu im. Wieniawskiego (płyty) 16.20 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci 16.35 Koncert ork. mandolinistów 17.00 „Z życia nauczyciela wiejskiego" — pogadanka 17.15 Koncert solistów 19.00 Teatr Wyobraźni nadaje premierę słuchowiska „W lesie" 19.30 „Kalejdoskop" — lekka audycja muzyczna 20.30 „Tam gdzie diabeł małe diablęta hoduje" — felieton 21.00 Z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" — Zygfryd Kassern 21.50 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 5 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 15.15 Koncert w wyk. Sekstetu Niny Mańskiej 16.30 "Altówka jako instrument koncertowy (płyty) 17.00 „Nad Amurem" — felieton 17.15 Fragmenty z opt. E. Kalmana „Diabelski jeździec" 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 Pogadanka muzyczna 20.15 Transmisja z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Legenda o Farysie" — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 6 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Wolfgang Amadeusz Mozart 14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Słowik" 15.15 „Groteski jazzowe" (płyty) 16.15 Orkiestra Adama Hermana 17.00 „Podkoziołek" — audycja muzyczna 17.20 Płyta za płytą"' — muzyka taneczna 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 19.45 „Kotylion piosenek" — audycja muzyczna 21.00 Muzyka lekka 21.55 Syrena karnawałowa 22.30 Muzyka taneczna (transmisja z Berlina).

Jak P.K.O. pracowała w r. 1936

(Przemówienie p. Prezesa PKO Dr. H. Grubera, wygłoszone na konferencji prasowej w dniu 21. I. 1937 r,)

Pomimo niekorzystnych warunków, jakie się wytworzyły w roku 1936 na naszym rynku pieniężnym w związku z wydarzeniami finansowymi na rynkach zagranicznych, działalność P. K. O. rozwija się nadal pomyślnie.

Ogólna suma wkładów wzrosła w roku 1936 w porównaniu z rokiem poprzednim o zł 13.981.942.60 i osiągnęła sumę 895,7 miln. zł. Osiągnięta ogólna suma wkładów stawia **P. K. O. na pierwszym miejscu** pośród zespołów instytucji finansowych w Polsce. Instytucja nasza gromadzi około 1/3 globalnej sumy wkładów w Polsce.

Dział oszczędnościowy wykazuje w roku sprawozdawczym nieznaczną różnicę wkładów, wynoszącą 13 miln. zł, co przypisać należy w dużym stopniu odpływowi wkładów większych, które wykazywały tendencję do inwestycji i przeszły na wkłady czekowe, które wykazały wzrost o 29,6 mil. zł. Zjawisko to uważać należy w zasadzie za pożyteczne, gdyż po to gromadzi się wkłady, aby po dojściu do sum większych można je było zużyć **na budowę domu, nabycie ziemi, lub założenie przedsiębiorstwa.** W tej mierze PKO. spełnia więc swą rolę.

Ogólna suma wkładów oszczędnościowych osiągnęła pod koniec 1936 r. sumę 663,7 miln. zł. Liczba książeczek oszczędnościowych wzrosła w roku sprawozdawczym o prawie 400 tys., osiągając na koniec r. 1936 2.287.000. W ten sposób **jedna książeczka PKO. przypada na 15-tu mieszkańców.**

W obrocie czekowym globalna suma obrotów wzrosła o 576 milionów zł i wynosiła 28,1 miliarda zł. Wzrost wykazuje również liczba kont czekowych. mianowicie o 1.490 do liczby 77.991 kont. Stan wkładów na kontach czekowych wynosił na ultimo roku sprawozdawczego 231.9 miln. zł, a więc w porównaniu z końcowym stanem z 1935 r. wzrósł o 29,6 miln. zł.

Z ogólnej sumy obrotu czekowego **w wysokości 28,1 milrd. zł** na obrót gotówkowy przypada 6,8 milrd. zł, zaś na obrót bezgotówkowy 21,3 milrd. zł.

Dynamika rozwojowa działu ubezpieczeń na życie wykazuje wzrost zarówno liczby polis i sumy ubezpieczenia. W ciągu 8 i pół lat jego istnienia osiągnięto 125 tysięcy polis ubezpieczeniowych na ogólną sumę ubezpieczenia 183,7 miln. zł. Fakt stałego przyrostu liczby polis ubezpieczeniowych dowodzi, że ten typ ubezpieczeń najbardziej odpowiada sferom średnio zamożnym; szereg zaś ułatwień stosowanych przy ich zawieraniu wpływa niewątpliwie na popularyzację tej formy przezorności życiowej.

Akcja kredytowa PKO., prowadzona drogą skupu papierów o stałym oprocentowaniu, a więc akcja alimentowania życia gospodarczego tanim kredytem długoterminowym wyrażała się w r. 1936 sumą 696,1 miln. zł, a łącznie z Działem Ubezpieczeń na życie — 723,9 miln. zł. W roku sprawozdawczym udzielono za pośrednictwem Banku Gospodarstwa Krajowego na finansowanie akcji budownictwa mieszkaniowego zł 46.480.000— na inwestycje komunikacyjne zł 12.600.000— oraz na inwestycje komunalne zł 4.461.000.— Szczegółowe zestawienie portfelu papierów wartościowych PKO. wykazuje, że na papiery emitowane przez państwo i instytucje kredytu długoterminowego **na cele gospodarcze przypada 88,1 proc. portfelu,** zaś na papiery państwowe o charakterze skarbowym, względnie budżetowym — 11,9%

Kredyty krótkoterminowe, do których zaliczamy kredyty na zastaw papierów wartościowych, skup weksli i akceptów kredyty wekslowe oraz pożyczki hipoteczne i na zastaw polis, wzrosły łącznie o 5,6 miln. zł. osiągając na koniec roku sprawozdawczego 43,1 miln. zł. Na uwagę zasługuje również zapoczątkowana w tym roku **akcja kredytowania drobnego kupiectwa.** która ze względu na dogodne warunki spotkała się z wielkim uznaniem ze strony zainteresowanych sfer.

Wartość lokat w nieruchomościach PKO., łącznie z Działem Ubezpieczeń na dzień 31. 12. 1936 r. wynosiła 47,5 miln. zł. Łączna suma lokat PKO. w papierach wartościowych, kredytach krótkoterminowych i nieruchomościach wynosiła na koniec roku sprawozdawczego 814,5 miln. zł, wzrosła więc w porównaniu zr. 1935 o 62,3 miln. zł.

Aktywa pierwszego stopnia płynności utrzymywane były stale na wysokim poziomie i w r. 1936 wynosiły one około 27% powierzonych kapitałów.

Operacje w dziale przekazów zagranicznych kształtują się nadal pomyślnie, i to pomimo zaostrzonych ograniczeń dewizowych w różnych krajach. Ilość zleceń załatwionych w tym dziale wynosiła w roku sprawozdawczym 181.212 na ogólną sumę 46,6 miln. zł Utworzone w PKO. specjalne Biuro Dewizowe załatwiło w okresie sprawozdawczym 4.352 zlecenia

Dział inkasa weksli przyjął 425 tys. weksli na globalną sumę 61,5 miln. zł, w porównaniu zatem z rokiem poprzednim dział ten wykazuje wzrost weksli inkasowych o 73 tys. sztuk.

W dziale zleceń giełdowych wykonano w roku ubiegłym 10.141 zleceń zakupu i sprzedaży papierów wartościowych i dywidendowych na łączną sumę 18,6 miln. zł, co stanowi **20% ogólnych obrotów papierami wartościowymi i akcjami,** dokonanych w r. 1936 na giełdzie warszawskiej. W porównaniu z rokiem poprzednim ilość dokonanych transakcyj wzrosła o 43%.

W związku z konwersją państwowych pożyczek wewnętrznych na 4% Pożyczkę Konsolidacyjną, PKO. wydała z tytułu wspomnianej konwersji obligacje Pożyczki Konsolidacyjnej na sumę nominalną zł — 115.800.000

Dział depozytowy i skarbiec kasetek depozytowych wykazują w roku ubiegłym dalszy wzrost.

Bank PKO. w chwili obecnej posiada **4 placówki** zagraniczne, mianowicie w Paryżu, w Buenos-Aires, w Tel-Aviv'ie oraz Wydział Przekazowy Linii Gdynia--Ameryka w Nowym Yorku. Ruch wkładów w poszczególnych Oddziałach kształtował się niejednolicie, co pozostawało w związku z wydarzeniami jakie miały miejsce na terenie działalności poszczególnych Oddziałów.

Ogółem suma wkładów pozyskanych przez Bank PKO. wynosiła na koniec 1936 r. w przeliczeniu na złote 30.874 tys. zł. Ogólny obrót Banku PKO. wraz z jego placówkami zagranicznymi wynosił w roku 1936 około 900 miln. zł. Podkreślić ponadto należy, że akcja Banku PKO. posiada dziś znaczenie nie tylko natury gospodarczej. lecz i społecznej. **Ochrona emigrantów przed wyzyskiem** i nadużyciami roztoczenie opieki nad ich oszczędnościami stwarza mocną więź moralną i materialną rodaków naszych z Macierzą.

Reasumując powyższe uwagi, widzimy, że działalność PKO. sięga dziś do najdalszych zakątków kraju. do wszystkich bez wyjątku sfer społeczeństwa, a także poza obręb naszego kraju, spełniając misję krzewienia **idei oszczędności i przezorności życiowej** wśród Polaków, jako zaś dysponent olbrzymich sum, stanowiących własność drobnych ciułaczy, przetwarza je na kapitały, które wracają do obrotów gospodarczych w formie najbardziej dla naszego organizmu gospodarczego przydatnej, pod postacią **taniego i przystępnego kredytu długoterminowego.**

Pojętna

— Maryniu, kakao ma dziwny smak; mówiłam ci przecież, żebyś je zaparzyła gorącą wodą, jak kawę.

— Ja też tak zrobiłam, proszę pani, ale może za dużo włożyłam cykorii.

Dziecię wieku

Matka z małym synkiem słucha transmisji radiowej opery „Fidelio". Kiedy po wielkiej arii Leonory rozległy się entuzjastyczne oklaski, malec odezwał się:

— Mamusiu, to pewnie teraz wbili gola!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.